



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych
cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

STOWARZYSZENIE OPIEKI

NAD ROBOTNICAMI W NIEMCZECH.

Kobiety niemieckie uważane są wśród innych kobiet Europy, za mało inteligentne i umysłowo ociężałe, pozbawione wyższych ducha polotów i smaku estetycznego. Pracowite, staranne gospodynie, nie umieją jednak być dobrimi gospodyniami w wyższym tego słowa znaczeniu, bo nie potrafiły uczynić mężczyźnie domu tak wygodnym i miłym, aby go polubił i przebywał w nim; aby towarzyskość rozwinęła się wśród społeczeństwa za współdziałaniem kobiety. I w rodzinie kobieta niemiecka nie osiągnęła takiego dostojnego stanowiska, jakie naprzykład posiadała od wieków kobieta nasza; jakie posiada Angielka, a w przeszłości starożytnego świata miała sobie przynależnym Rzymianka: Westalka w świątyni, przed którą odkrywały się głowy tłumu, a spuszczały pęki różg liktora, u domowego ogniska kapłanka i matka rodu. Niemka godności podobnej nie osiągnęła nigdy; pokorna w obec swego męża i pana, pierwsza służebnica w jego domu, nie ma i wobec syna tego znanienia, nie odbiera tych oznak wyższego uszanowania, jakimi cieszy się matka u narodów słowiańskich i romańskich. Może grubość natury Niemca tak zaciężyła nad kobietą, która ugięła się przed siłą; obecnie przecież Niemka zaczyna się przeobrażać i podnosić, zaznaczać społecznie, i to w sposób najlepszy. Skrajnie, awanturnicze mrzonki emancypacji nie znajdują w Niemczech zwolenniczek; idea rodziny jest tak, jak dawniej, moralną podstawą, ale obok tego Niemka zaczyna coraz więcej myśleć, czuć i działać samodzielnie, jakkolwiek w zakresie ściśle kobiecym, którego przekraczać nie pra-

gnie. Zmysł stowarzyszenia, silnie rozwinięty w narodach germańskich, obudził się i w kobiecie niemieckiej; za jego pomocą Niemka zaczyna rozwijać bardzo szczęśliwą działalność w sposób cichy i spokojny, ale wytrwały, więc wykazujący się coraz szczęśliwszymi rezultatami. Czytelniczki nasi wiedzą o różnorodnych stowarzyszeniach kobiet niemieckich, w których czerpie pomoc tak żyjąca w rodzinie, jak te samotne, zostawione siłom własnym i szukające oparcia w zjednoczeniu usiłowań swoich. Olbrzymie stowarzyszenie „Letzte Verein“, działające w różnych gałęziach pracy kobiecej, nietylko przynosi kobiecie niemieckiej wielką pomoc w zaczątkach jej samodzielnego ruchu, ale przez to samo, że istnieje i rozwija się pomysłnie, wykazuje jej niepoślednie przymioty organizacyjne i ważną, wielką podstawę w życiu ludzkim: cnotę wytrwałości.

Obecnie Niemki klas wyższych zawiązały stowarzyszenie szlachetnie pocziwe: „Związek opieki nad robotnicami“ (Schutzverein für Arbeiterinnen) pod pięknym godłem słów apostoła: „Służmy sobie wzajem, każdemu wedle daru, jaki obdając może“.

Rzecz ta dobra nastąpiła w d. 18 Października roku ubiegłego, na zjeździe kobiecym, takzwanym „Frauentag“ w Weimarze. Marya Calm w Kasselu, gdzie stoi na czele stowarzyszenia popierającego pracę i wyższe wykształcenie kobiety, wniosła na zgromadzenie projekt i podała zarazem plan stowarzyszenia, nakreślony według znanego czytelnikom naszym angielskiego stowarzyszenia: „Girl's Befriending Society“ istniejącego od 1875 roku i oddającego w całej niemal Anglii i Szkocji wielkie usługi sprawie umoralnienia i podniesienia kobiety z klas niższych. Ponieważ działalność stowarzyszenia nie jest skoncentrowaną i nie polega głównie na komitecie, lecz wzięwszy raz od niego impuls, działa jakoby niezależnie przez pojedynczych członków, może ono być zespolone z każdym innym stowarzyszeniem,

podobnie filantropijnej natury, któreby dla jego członków służyło głównie za pierwszy węzeł spójni i punkt zjednoczenia. Celem jego jest opieka nad młodemi dziewczętami z klas pracujących i możliwe ulepszenie stosunku między pracownicą a pracodawcą.

Członkami stowarzyszenia są: I) Opiekunki: „Schutzdamen“; II) Dziewczeta młode, opieki potrzebujące: „Schützlinge“; III) Członkowie wspierający stowarzyszenie, tak mężczyźni jak kobiety; tych obowiązkiem jest jedynie roczna składka w kwocie 5 marek, lub jednorazowy dar znaczniejszy, najmniej 50 marek. Opiekunki płacą też roczną składkę 2 lub 3 marek; dziewczeta stowarzyszone 1 markę, składaną w ratach kwartalnych, po 25 fenigów. Gdy usuniemy różnicę kursu i weźmiemy markę w jej rzeczywistej i wśród Niemców stałej wartości dwóch złotych, roczna opłata składek okaże nam się tak niewielką, że nawet dla osób bardzo ograniczonego mienia uciążliwą być nie może, czego też cheiano właśnie. W niebogatym kraju tak być powinno, i Niemcy, którzy to zrozumieli, pilnie strzegą przy wszelkiego rodzaju stowarzyszeniach, aby wysokość składek nie była nikomu ciężarem, i dlatego też istnieje tam niezmierna moc stowarzyszeń, ztąd trwałych i rosnących coraz w siłę, że przez ten wzgląd rozumny mogą się opierać na liczbie i ogarniać rzesze całe.

Obowiązkiem członka czynnego czyli opiekunki, jest rozciąganie macierzyńskiej opieki najmniej nad jedną z dziewcząt, którą wedle upodobania wybrać sobie może z pomiędzy stowarzyszonych. Stowarzyszone mogą być zajęte we wszystkich uczciwych zawodach pracy kobiecej: służące, szwaczki, praczki, robotnice fabryczne, sklepowe i tym podobnym zatrudnieniom oddane, bez różnicy między wyznaniem i wszelkie religie, w państwie Niemieckim publicznie uznane, mają jednakowe prawo do opieki stowarzyszenia, którą usuwa tylko skaza na dobrej sławie dziew-

częcia. Chcąc przystąpić do stowarzyszenia, potrzebuje też złożyć wiarogodne świadectwo dobrych obyczajów, wraz z piśmiennem pozwoleniem rodziców, jeżeli przy nich pozostaje, lub w ich zastępstwie krewnych, czy pracodawców. Wiek wymaganym jest przejście lat obowiązkowej w Państwie Niemieckim nauki szkolnej, i jeżeli dziewczę, co jest najbardziej pożądaną rzeczą, zaraz po wyjściu ze szkoły zapisuje się do stowarzyszenia, rękojmię moralnej strony jej charakteru stanowić już może świadectwo cenzury szkolnej, które przecież wagę swoją traci, jeżeli pomiędzy opuszczeniem szkoły a zgłoszeniem się do towarzystwa upłynęły trzy miesiące czasu. Zostając pod nieusuniętym zarzutem, przyjęta być nie może, i podobnie gdy zarzut taki zacięży już na stowarzyszonej, musi go odeprzeć, lub ze związku się usunąć.

Obowiązki opiekunki polegają na tem, aby rodzaj macierzyńskiej opieki nad stowarzyszoną rozciągając, wiedziała zawsze o niej wszystko, co dobra matka o córce wiedzieć powinna: o jej postępowaniu, zdrowiu, stanie jej interesów. Ze przecież musi to być stosunek czysto osobistej natury, przepisy żadne określić go dokładnie nie mogą. Opiekunka powinna najpierw zaufanie dziewczęcia do siebie wzbudzić; przez takt i umiejętne zachowanie się względem młodej istoty, tak przy napomnieniu, jak oznakach zycżliwości, szacunek i uszanowanie dziewczęcia sobie zaskarbić i tym sposobem wywołać dla siebie z głębi jej serca szczerą, otwartą, złączoną z błogiem uczuciem uspokojenia, że jest ktoś starszy i rozumniejszy, który nad nią czuwa, interes jej do serca bierze i w razie jakiegos niedoli wspomóż, krzywdy nie dopuści.

Przecież stowarzyszenie niemieckie pod tym względem od angielskiego się różni, że dziewczyny służącej nie może opiekunka nigdy w pomieszkaniu jej pracodawców odwiedzać, i co więcej, „pod żadnym względem nie wolno jej mieszac się w służbowe dziewczęcia stosunki“. Jedynie w razie choroby, jakiegos nieszczęścia, w razie wzmocnienia jej służby, może się dziewczęta służąca o pomoc do opiekunki swojej zwrócić, a ta obowiązana jest wtedy najgorliwiej, jak może, z tą pomocą jej pośpieszyć, radą i czynem dopomóc.

W Anglii, przeciwnie, opiekunka powinna domowe stosunki dziewczyny służącej doskonale znać i w tym celu właśnie odwiedzać ją niekiedy w miejscu samem jej zamieszkania, otoczenie jej choć trochę zbadać i widzieć takie naprzykład okoliczności, czy dziewczęta znajdują się w domu ludzi uczciwych, gdzie nie dzieje się nic, coby na szkodę jej moralnego charakteru złym wpływem oddziaływać mogło. Inaczej nawet rzeczy ułożyć się nie mogą, jeżeli ma to być opieka rzeczywista i choć w części do macierzyńskiej zbliżona. Jak żadna pani, nietylko uczciwa, ale rozumna, nie przeciw temu mieć nie może, aby dziewczęta młoda zostawała pod moralnym dozorem i zwierzchnictwem matki, lub starszej krewniej, także nie może przeciw opiekunce takiej, która wobec młodości samotnej miejsce to zastępuje. Zależy to tylko od taktu, od delikatności opiekunki, aby jej troskliwość nie stała się uciążliwą i nie przekraczała granic przez przyzwyczajenie dozwolonych. Ale to już rzecz komitetu, aby opiekunkami czynnymi były tylko osoby przez umiejętność życia, powściągliwość rozumną, do tego uzdolnione. Plotkarki, swarliwe, niespokojnego ducha osoby nie powinny mieć nigdy urzędu tego sobie powierzonym.

Wprawdzie plotkarki, swarliwe, niespokojnego ducha osoby, nie i nigdy miećby nie powinny pod mocą swoją, ale gdy z życia usunąć ich niepodobna tu przynajmniej, gdzie wybór czynić można i należy, nie powinno się ich wpuszczać.

Restrykcyja, zapewne ze względu na drażliwość pewnych pań, w ustawę stowarzyszenia włączona, nietylko całe znaczenie opieki nad dziewczętami służącymi do bardzo małych rzeczy sprowadza, ale jest tylko *pobożnem życzeniem*; jest zastrzeżeniem niewykonalnym, bo jeżeli dziewczęta będzie mieć do opiekunki swojej zaufanie, jeżeli będzie względem niej tak, jak stowarzyszenie słusznie tego pragnie, szczerą i otwartą, to stosunki jej służby nie mogą tu pozostać tajemnicą. A je-

żeli opiekunce przyjdzie rozsądzać między stronami w razie jakiegos smutnego wypadku, jakiegos niemilego zajścia, które jej protegowana postawi w potrzebie pomocy: „in Noth“ czyż nie lepiej, aby znała prawdę, niżby opierając się na gołosłownych zeznaniach dziewczyny, z poparciem jej przychodziła? Mogą być przytem okoliczności dla dziewczęcia zgubne, których ona ani poznać ani ocenić nie potrafi, a które od niej usuwać jest opiekunki powinnością. Wreszcie cóż wtedy będą znaczyć w odniesieniu do służących te wyrazy, motywujące założenie, cel stowarzyszenia: „stosunek między pracodawcą i pracującą o ile można ulepszać?“ Nie można ulepszać tego, czego nie znamy, nie można zwłaszcza czynić tych rzeczy naslepo.

Stowarzyszenie zastrzega, aby opiekunka pieniężnych datków, o ile można najmniej, dziewczęciu robiła. Jeżeli chce coś dla niej uczynić, niech to do kasy oszczędności dla niej złoży, co nawet może pomysłnie oddziaływać, zachęcając dziewczynę do pomnażania zasobów swoich. Dziewczyna stowarzyszona obowiązana jest w każdą pierwszą niedzielę kwartału opiekunkę swą odwiedzić i na jej ręce złożyć ratę opłaty rocznej. Tej nie należy opiekunce nigdy za nią zakładać: 25 fenigów najuboższa robotnica zebrać jest w stanie przez kwartał, a są rzeczy, które darmo przychodzić nie powinny, bo wtedy cenniejszymi się stają, gdy są w jakikolwiek sposób opłacone. Przy zmianie zajęcia lub służby i w ogóle miejsca pobytu dziewczyna stowarzyszona obowiązana jest opiekunkę o tem zawiadomić.

Stowarzyszone, tak dziewczęta, jak opiekunki mają się co miesiąc w obranem na to lokalu—domu stowarzyszenia, zgromadzać w niedzielne popołudnie. Opiekunki mogą między sobą dyżury przybywania tu urządzić, aby zawsze znalazło się ich kilka między dziewczętami, które stowarzyszenie pragnie ugościć, częstując czy kawą z ciastami, czy w lecie owocami i jakiegos rodzaju chłodnikiem. Dziewczęta nie są obowiązane na te miesięczne zebrania przybywać, ale są na nie zaproszone. Rozmowa między sobą i z opiekunkami, czasem czytanie głośne przez jedną z opiekunek, muzyka na fortepianie, wszystko to, co może dać miłą rozrywkę towarzyską, miejsce tu mieć powinno.

Biblioteka stowarzyszenia na takich zebraniach niedzielnych otwiera się dla stowarzyszonych i wypożycza im do domu książki, za zastawem 10 fenigów za tom. Zastaw ten jest potrzebnym, aby książki nie ginęły i przed uszkodzeniem strzeżone były. Przepis wprowadzonym został na zasadzie doświadczenia, wyniesionego z czytelników ludowych.

Każda opiekunka otrzymuje kartę, urząd jej poświadczającą, oraz drukowaną książeczkę wydaną na imię i nazwisko dziewczęcia, którem się opiekuje. W książeczce tej, która dziewczęcinie za najlepszą rekomendacją u ludzi służy, jest wypisane także imię i nazwisko, oraz miejsce zamieszkania jej opiekunki. Dalej właścicielka książki znajduje adres domów stowarzyszenia w rozmaitych miastach kraju, aby w razie zmiany pobytu nie błąkała się jak sierota wśród nieznanym ludzi i stosunków, ale mogła prosto zgłosić się o radę, pomoc i przyjęcie jakgdyby do rodziny, którą stowarzyszenie usiłuje jej zastąpić.

Plan stowarzyszenia i adresy jego domów w różnych miejscowościach zostały rozesłane do wszystkich parafii Niemiec wszelkich wyznań, oraz do szkół i szkółek tak miejskich, jak prywatnych. Zawiadomić dziewczęta młode o stowarzyszeniu, jest to mu dobrą, prostą drogę życia wskazać, gdzie czeka nań zycżliwie wyciągnięta, przed błędem i nieszczęściem chcąc chronić ręką.

Niezmierna prostota w urzędzeniu stowarzyszenia, i względ uważny na możliwą oszczędność, czyni je łatwym do przyswojenia wszędzie; a wszędzie przecież jest młodość samotna, pracy na chleb potrzebująca, rzucona bezbronnie w świat między złych i dobrych ludzi. Dobrych obowiązkiem—dobrych znamieniem jest, aby czuli w sercu żal nad tą wyjątkową nędzą, którą jest nieświadomość, którą jest niedoświadczenie, w połączeniu z opuszczeniem, ze zdaniem na łaskę i nie-

łaskę losu. Jeżeli serca kobiet naszych są rzeczywiście dobre i tkliwe, jeżeli rzeczywiście umięją kraj swój w jego ludzie kochać, to tak weźmiemy przykład z Niemek, jak Niemki wzięły go z Angielek i wkrótce stowarzyszenie podobne stanie się filią Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności.

Marya Ilnicka.

JUSTKA

MINIATURA

z życia powszedniego

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Gumienny Rabicki, który potrafił wysledzić, co się stało z jego jedyną siostrzeniczką, zabiegał tak i pracował, że wostatku udało mu się przy furach wyprawianych do Warszawy wybrać, aby Justkę odszukać i zobaczyć. O losie jej nie wiedział wcale; ekonomowa Julisia dała mu tylko wskazówkę, aby o nią Franaszków na Bednarskiej pytał.

Dla starca podróż ta była niesłychanie ciężką; lecz powiedział sobie, że choćby miał z niej do domu nie powrócić, raz jeszcze w życiu Justkę widzieć musi.

Dojechawszy naostatku z furami na Pragę, gdzie miały nocować, Rabicki był tak znużony, że padłszy pod wozem na ziemię, aby spocząć, spał bez przerwy kilkanaście godzin, i ledwie się go dobudzono.

Tego dnia nawet do Franaszków się dostać nie mógł, a gdy go ekonom uwolnił i wypuścił,—stary stracił kilka godzin na szukaniu ulicy, domu i ludzi.

Znalazł Franaszkową samą, a kwaśną. Niepozornie wyglądającego, przyjęła niechętnie. Na zapytanie: co się stało z Justką? — dopiero się nieco ożywiła.

— A to wacan nic nie wiesz?

— Albo u pani jej nie ma?

— Gdzie! kiedy!!

— A cóż się z tem biedactwem stało?

— Piękne mi biedactwo! — odparła Franaszkowa. — Wygrała jakby wielki los na loteryi. Jakiś stary niespełna rozumu, baron czy jak go tam tytułują, wziął ją na wychowanie. Ani teraz poznać! chodzi w atlasach!

Rabicki osłupiał.

— Nie godzi się żartować tak! — odparł smutnie.

— Tak mi Boże dopomóż! — krzyknęła Franaszkowa — co acan sobie myślisz? Prawda święta! Idź na Krakowskie, mój mąż ma adres, sam się przekonasz.

Rabicki nie wierzył jeszcze i stał bez mowy. Franaszkowa się śmiać zaczęła. Dopiero po zaręczeniach i przysięgach, gdy mu Franaszek dał adres, ze strachem powlókł się na Krakowskie.

Stary gumienny, chociaż do Warszawy zabrał z sobą najlepsze, na wszelki przypadek, odzienie, owa odświętna kapota nie wyglądała wcale zalecająco.

Sam on, rozglądając się po ulicach, nabierał przekonania, że biednie się prezentował. Jego długie buty kozłowe, pas, czapka z daszkiem, nawet bielizna i chustka, równały go z tymi, co tu najluchsze posługi spełniali. Lecz Rabickiemu nie chodziło o to, jak się okaże, tylko, żeby mógł swoją Justkę zobaczyć.

Kto wie, czy paradna służba barona, dobre ludziska, ale z fumami okrutnymi w głowach, byliby go dopuścili, gdyby los, litując się nad biedakiem, właśnie w chwili, gdy on nadchodził, nie sprowadził Justki, z panną Jolantą powracającą ze spaceru.

Uroslej, zmienionej, ustrojonej, szykownej, nie poznałby był może Rabicki, ale dziewczę, zobaczywszy go, rzuciło się z uniesieniem ku niemu i przestraszyło pannę Jolantę gwałtownym wybuchem radości, która w płacz przeszła.

Ta czułość poczytowego serca dziewczyny w początkach zakłopotania długim obcowaniem z arystokratyczną wydelikacjoną starą guwernantką, ale potem wzbudziła w niej szacunek dla dziewczki.

Nietylko, że się nie zawstydzila prostaka tego, ale, ująwszy go za rękę, śmiało zaraz poprowadziła do barona. Rabicki napróżno się wymawiał.

Stary baron mocno się zmieszał. Niebardzo mile mu były te odwiedziny, jawne przypomnienie pochodzenia Justki, i następstwa, jakie znalezione się wuja pociągnąć za sobą mogło, lecz raz trzeba było ten stosunek uregulować, zaspokoić starego i zapewnić się na przyszłość.

Grzecznie powitał Rabickiego, który mu do nóg był przypadł, rozpytywał o pochodzenie, badał zaraz, czyby sobie nie życzył spokojnego kąta u niego na wsi i t. d.

Rabicki podniósł ręce do góry.

— Ale ja, jasnie panie, nic a nic nie żądam, o nic nie proszę! Boże uchojaj, przywlokłem się dziękować tylko. Tam, gdzie życie moje całe prawie spędził, dokończę też. Nic nie potrzebuję, nic, jasnie panie.

A gdy to mówił, lzy mu się toczyły.

Z papierów Rabickiego okazało się, że dziewczę z matki i ojca należało do szlachty, z czego Baron był uradowany. Poleciał przyjąć jaknajlepiej i ugościć gumiennego, rozgadał si z nim i zdał go w ręce Justki, która zabrała wuja do swego pokoju.

Tu opowiedziała mu obszernie o sobie, o swych przygodach, o tem, jak jej tu było teraz, jak się uczyła, jaki baron dobry był dla niej i t. d. Rabicki słuchał, piąte przez dziesiąte rozumiejąc, płacząc i lzy ciągle ocierając, ręce ku niebu podnosząc, a czasem Justkę po główce głaszcząc, bo ledwie śmiał ją pocałować.

Obje się zgadzali na to z Rabickim, że Sędzinka i wogóle nikt obcy o jej losie nie powinien wiedzieć, bo baron sobie nie życzył rozgłaszania tej historii, i ludził się tem, że obca dziewczynka zupełnie się w rodzinę jego wnuczkę zamieni, a dawne lata zatrą się i zapomną.

Rabicki, oile toby było możliwym, obiecywał co rok potajemnie odwiedzać Justkę, lecz gdy raz o nią był spokojnym, zaraz roku następującego—chybił. Podróż dla niego była niezmiernie utrudzającą. Justka na ręce proboszcza, któremu się zwierzył gumienny, pisywać czasem obiecała do niego.

Przez dni dwa Rabicki nasycił się widokiem siostrzenicy, a sownie przez nią obdarzony, gdyż baron w ten sposób chciał mu przyjść w pomoc, nie obrażając, bardzo sobie Warszawę upodobał i opuścił ją, Bogu dziękując za łaskę Jego. Zwierzył się przed Justką, że koronka do Opatrzności Boskiej, którą matka jej codziennie odmawiać była zwykła, sprawiła ten cud niezawodnie.

Te odwiedziny gumiennego były jedynym wypadkiem, który przerwał monotonię życia Justki, urozmaiconego w szczegółach, ale podług jednego planu stałego rozwijającego się i zajętego—wyszkoleniem, którego ona była tak chciwą.

Wszyscy zgodnie przyznawali to jej, że korzystała nadzwyczajnie z nauki, z widzenia świata, z każdej najmniejszej w życiu wskazówki.

Baron wolałby był może dłużej ją widzieć dzieciną, niedojrzałą, naiwną—lecz cieszył się taką, jaką ją temperament czynił. W rozmowie z nią nieraz do przerażenia prawie zdumiony był wczesnym jej rozumem i taktem.

Mówiono powszechnie, chociaż były to tylko pogłoski, że, nie zwlekając, Raun cały swój majątek, z wyjątkiem legatów nieznacznych, przekazał sierocie. Tymczasem, im bardziej dorastała, tem na wytworniejszej stopie ją i dom dla niej utrzymywał.

Jako dama do towarzystwa i razem dopełniająca wychowanie była panna Jolanta, która się przeniosła na mieszkanie do domu barona. Starsza garderobiana, dwoje dziewcząt służebnych, stary kamerdyner, przywiązani byli do osoby i

usług panny Justyny, która miała też własny powóz i konie i niemi rozporządzała.

Nie potrzebujemy mówić nawet, że wszystkiego, co do wykształcenia dopomagać mogło, nietylko obficie ale wymyślnie dostarczał baron. Taksamo starał się o rozrywki, o wpojenie w nią dobrego smaku i poczucia piękna.

Dziewczę miało fantazyje, przyjmowało wszystko, lecz czyniło wybór pewien i jedne rzeczy przyswajało sobie chętnie, inne odkładało z obojętności na stronę—przełamać nie dawało się łatwo.

Tak, na przykład, baron nalegał na nawyknienie do wytworności i elegancji zbytkownej. Justka się ubierała z wielkim smakiem, ale z większą jeszcze prostotą. Jaskrawa i błyszcząca elegancja była jej zawsze i pozostała wstrętną.

Równie baron jak panna Jolanta, pomimo, że Justka im najczulsze okazywała przywiązanie, skarżyli się, jakgdyby ona do nich zupełnego zaufania nie miała. Wydawała się im trochę chłodną, zamkniętą w sobie, gdy z Martą była na stopniu serdecznej poufałości największym. Wistocie Justka z niemi miała się na baczności, nie całkiem była sobą, okazywała obawę jakąś i powściągała się, ale niemniej szczerą była i nigdy nie udawała tego, czego w sercu nie miała.

Stary baron, który trochę był odżył szczęściem tem domowem, starał się jednak szybko i coraz był słabszy. Niepokoił go los Justki; usiłował zawiązać stosunki, wprowadzić ją w świat, aby naczynnie się przekonać: jak ją przyjmie towarzystwo, wśród którego prawdopodobnie żyć miała.

Nie dobijał się dla niej nadzwyczaj świetnego stanowiska, życzył sobie jednakże człowieka dobrego rodu, pewnych tradycji rodowych, i zajmującego w społeczeństwie pewny już uprawniony stopień.

Za Justką mówiła najpierw nadzieja ogromnego majątku barona, potem osobiste jej przymioty: młodość, piękność—ale, pomimo to wszystko, rodziny stare, ludzie ostrożni, niebardzo śpieszyli w szranki przyszłych konkurentów.

Bądź co bądź, pochodzenie, nawet ludziom od wszelkich przesądów wolnym, obojętne nie jest.

Tu jeszcze zachodziła okoliczność, złośliwości ludzkiej zawdzięczająca początek—podejrzenie puszczone w obieg przez jakiś jęczyczek żmii, że Justka bliżej stała p. barona, niż przyznawano, i że to było dziecie jakichś pokątnych miłości jego starości. Ta pogłoska szkodziła Justce, choć była fałszywą, a miłość barona dla niej zdawała się ją potwierdzać.

Drudzy utrzymywali, co nie na lepsze jej wychodziło, że to było dziecko chłopskie, i że miało liczną rodzinę, której się okupywać musiał baron.

Ponętę więc milionów osłabiały znacznie obawy—i wstręt, jaki rodziny znaczniejsze mają zawsze do połączenia się z niestojącymi z niemi na równi.

Lecz baron dawał wieczory, przy kotyliach przesłiczne podarki; podwieczorki jego i wieczorne sławne były z wytworności, bo on sam liczył się do smakoszków, bawiono się u niego po książęcemu.

Justka wśród licznego już orszaku młodzieży, który koło niej krążyć zaczynał—nie wyróżniła jeszcze nikogo. Niejednym się posługiwała, jak p. Aurelim, na przykład; drugich, jak p. Leona chciała trochę podrażnić i zaintrygować; bawiła się innemi: żaden do serca jej nie przemówił.

Wieczorem, papląc przed Martą o swych wrażeniach—szczebiotała żartobliwie:

— Zobacysz, że jeśli ja kiedy się jakim chłopcem zajmę, jak ty mi to przepowiadasz—to chyba takim, co będzie miał surducinę wytartą i buty pokrzywione: taki mam zły smak. Ja to czuję...

— Niechaj Bóg uchoj! kochana panienko—odpowiedziała staruszka— a coby to baron powiedział! On dla panienki księcia-by chciał wyszukać...

— Boże nas uchojaj od tego—zatrzepotała rękami Justka—a co-by na to wujaszek powiedział! co on, gdybym mu wujaszka zaprezentowała!

Śmiała się, klaszcząc w ręce.

Spotkawszy w towarzystwie najpierw Aurelego, którego nazwisko ją uderzyło, dowiedziała się że był synem tej, co jej wyzwoleńcem ułatwiła; to ją zbliżyło do niego, ale chłopak choć wesołością

ją i trzpiotowstwem bawił, nie podobał się. Z większą jeszcze ciekawością zobaczyła Leona, którego sobie dobrze bardzo przypominała z Baranówce, jak ją nieraz straszyl fuzyą nienabita. Ten ani mógł jej poznać. Chciała zaintrygować go i może w ten sposób się pomścić na matce; lecz Leon nie bardzo się zbliżał i nie dawał, jak się zdawało—łatwo przyciągnąć.

Z całego towarzystwa młodzieży, tych dwu, najmniej może pokątnych i wybitnych—nieco wyróżniała; reszta jej była obojętną. Widziała w nich tancerzy, wesołych towarzyszków zabaw—nic więcej.

Myślą sięgając w przeszłość, teraz do tej Sędzinki, od której tak porywczco uciekała, nie miała już Justka takiego żalu, ani takiego wstrętu jak dawniej. Czowała, że pomimo nieznośnego temperamentu, stara biedna kobieta złą nie była i celu nigdy złego nie miała w tem, co jako obowiązek spełniała.

Taksamo wdzięczność dla p. Porochowej, zamiast wzrosnąć, ostygła w niej. Zrozumiała, iż sąsiadeczka uczyniła to więcej na przekorę Sędzynie, niż przez litość nad nią.

Rabicki w drugim roku pobytu Justki w Warszawie, odwiedziwszy ją, jakieśmy mówili, powrócił do domu i nikomu ani słowa nie pisał o tem przez czas bardzo długi, aż do spotkania się przed kościołem, w roku następnym z p. Porochową.

Tasama go zaczepiła, lecz gumienny zbył ją ogólnikami, podziękował, a o wszystkim jak było, co się stało z sierotą, wahał się i nie chciał się spowiadać przed nią. Baron i Justka nakazali mu milczenie.

Porochowa zapomniiała potem o gumiennym i naostatek dopiero po kilku latach, właśnie po powrocie Aurelego do Zdunowa, w polu, na granicy, przydybawszy starca, poczęła go badać natargiwie.

— Znalazłeś ją, tę swoją siostrzenicę: czemuż mi nie powiesz co się z nią dzieje? Dlaczego robisz z tego tajemnicę? Cóż? Zwałała się? zmarowała na warszawskim bruku? he?

Stary aż się rzucił z oburzenia.

— Ale gdzie zaś, proszę jasnie pani, wyrwało mu się mimowolnie, karaj Boże do wieku taką dolą jak jej! Ta-to dziś jak królowa jaka opływa.

Nieopatrzne to były wyrazy, gdyż Porochowa do innych swych przymiotów łączyła nienasyconą ciekawość. Nacisnęła więc tak na gumiennego i tak umiejętnie poczęła z niego wyciągać po słówku coraz, a coraz więcej, że w końcu stary, sam prawie o tem nie wiedząc, wszystko a wszystko jej wyspiewał, a postrzegłszy się że źle zrobił, do nóg jej padł, prosząc o zachowanie tajemnicy.

Porochowej w początku się zdawało, że gumienny przesadza i bałamuci, ale przypomniała sobie baronównę Justynę, o której syn jej mówił ciągle, i zasłona spadła z jej oczu.

Natychmiast chciała wziąć syna na spytki, gdyż już osnuła świetny projekt ożenienia go z temi milionami, które sierota jej zawdzięczała.

Aurelego w domu nie było, gdyż rzadko tu przesiadywał, musiała też, gorączkowo marząc, czekać na jego powrót.

Zaledwie bryczka jego stanęła przed officyną, gdy jejmość podeszła niecierpliwie do niego. Aureli nie miał sobie tego wytlómaczyć gdy go zagadnęła żywo o Justysię. O całej tej historii wcale nie wiedział, a matka musiała mu ją opowiedzieć i dodała, klaszcząc w szerokie, pulchne dłonie, o grubych palcach.

— Ona mnie wszystko winna! Rozumiesz! Byłaby najniewdzięczniejszą istotą.

Aureli śmiać się zaczął. Nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do historyjki Justysi, ale radoła go ona, bo dziewczę mu się podobało, a miliony uśmiechały. Wcale nie był od tego; tylko panna, jak on ją znał—nie łatwą do zdobycia mu się wydawała.

Teraz rozumiał już i on, dlaczego, gdy mówił o okolicy Baranówki i Zdunowa panna taką okazywała znajomość miejscowości.

Cała ta powieść, jakkolwiek tracąca bajeczką, okazywała się prawdziwą. Aureli mógł z tego skorzystać.

Porochowa o tem ani na chwilę nie wątpiła

i na podstawie zdobytej fantazy jej wznosiła już gmach okazały. Jedno tylko jej do myślenia dawało: dlaczego dziewczę, które tyle jej było winne, ani razu się nie zgłosiło, nie podziękowało, nie dało znać o sobie? Przypisywała to rygorowi, z jakim zapewne nad jej stosunkami czuwano.

Pomimo pozornej swej ociężałości, którą się różniła od Sędzinki, pełnej życia, ruchawej i gadatliwej, Porochowa, raz zelektryzowana czemś, niełatwo już potem dawała się i uspokoić.

Marzenia jej przybierały rozmiary najdziwniejsze, nadzieje rosły olbrzymio; wszystko, co sobie układała, zdawało się jej tak niechybnem, iż najmniejsze sprzeciwienie się wprawiało ją w gniewy okrutne.

Aurelemu więc ani mówić nie dawała o trudnościach: powinien był korzystać, zdobyć serce i otrzymać rękę. Ona mu miała pomagać—ona!! W siebie samą wiarę miała nieograniczoną.

— Dopiero się Sędzinka wściecze — wołała — gdy się przekonam, jak Pan Bóg dobre uczynki wynagradza. Bo ja ci powiadam: to jest przeznaczone dla ciebie, to się tak składa, dotykalnie. Co tu i mówić!

Aureli się uśmiechał.

Byłaby z nim natychmiast się wybrała do Warszawy, ale dowiedziała się od niego, iż Baron ze swoją przybraną wnuczką był na wsi. Potrzeba było czekać do późnej jesieni.

Gdy się to działo w Zdunowie, Sędzinka także z wiadomością o Justysii chodziła wielce zadumana, raz kwaśna, to znowu dowodząc, iż sierotka, bądź co bądź, musi jej być wdzięczną, jeśli ma rozum.

Pomiędzy Zdunowem a Baranówką stosunki, jak dawniej, tak i teraz, ściślej się nie były, ale Aureli z Leonem zjeżdżali się częściej, bo się obaj jeszcze na wsi nudzili. Zbliżenie się chłopców wywoływało czasem i spotkanie się dwóch pań ze sobą. Sędzina, której nadzwyczaj trudno było utrzymać jakąkolwiek tajemnicę i nie wypowiadać się z tego, co miała na myśli, przy pierwszych odwiedzinach Porochowej sama się z Justysią wygadała. Nie wiedziała ona, nie wierzyła w to, czy lekceważyła wciąż, iż Porochowa sierocie pomagała do ucieczki, i udała, że wcale się tego nie domyśla.

— Słyszałaś pani — odezwała się do niej — o tej historii z Tysiącą Nocy, siostrzeniczki mojego gumienego, Justki? Pamiętasz ją pani?

Porochowa, zmieszana, poruszyła głowę.

— Tak, cokolwiek, przypominam sobie coś... Cóż to było? — odparła niewyraźnie.

— Krnąbrny szurgot, na którego ja od rana do nocy musiałam gderać a gderać, aż mi w gardle zasychało, drapał. Jakim sposobem dostała się do Warszawy, to tylko Bóg wie, ale oto dowiaduję się, domyślam, prawie pewną jestem choć Rabicki kłamie i bałamuci, nie chcąc mi się przyznać, że tę Justkę wziął jakiś niezmiernie bogaty Baron, i wychowuje jako wnuczkę, dlatego, że mu straconą ostatnią prawdziwą wnuczkę przypominała. Proszę ja pani, nie romans-że to z Tysiącą Nocy? W imię Ojca i Syna!!

Porochowa udawała, że słucha z natężoną ciekawością i uwagą, usiłując nie dać poznać po sobie, co w niej się działo. Starła się być zimną, niedowierzającą.

Sędzinka rozgadała się nadzwyczaj obszernie, wydobyla fotografią przywiezioną przez Leona.

Przyznać się musiała w końcu sąsiadka, że Aureli jej o tej baronównie mówił wiele, że ona mu się dość podobała, — ale któż mógł domyślać się nawet?...

— A no, cóż? — przerwała Sędzinka z uśmiechem — jeśli wpadła w oko panu Aurelemu, niech Rabiickiemu się pokłoni: znajdzie go na toku z miotłą, a to rodzeniuteńki wuj. Tylko niech się wprzódy napewno przekonam, że Baron te miliony istotnie zapisał, bo—a nużby chybiły i Justka została z panem Rabiickim tylko?...

Był to niby żarcik poufały, sąsiadki, lecz Porochowej ostrym sztyletem wbił się w serce. Śmiała się z niego, śmiała, a wewnętrzności się niej poruszały. Byłaby Sędzinę biła, gdyby mogła.

— Mój Aureli — odparła, wzdychając — bardzo trudny wogóle. Tak sobie baraszkować, ba-

wić się, tańcować, komplementa prawić: w to mu graj; ale zakochać się i myśleć o ożenku—o, to...

— Ma rozum — zawołała Sędzinka — ja też Leonowi to mówię, ażeby się nie spieszył, a do brze rozpatrywał.

Ten filut dziewczyna, z mojej pomywaczki baronówna—dodała—starła się Leonka tem intrygować, że o okolicy naszej coś natrącała. Jeżeli się nie zmieniła, nie wieszując temu, kto ją dostanie: odrazu pod pantofel i już ani się z niego wydobyc. Pojęcie przechodzi, co to była za natura uparta i nieposkromiona; dosyć powiedzieć, że puściła się tak w świat bez grosza, bez koszuli prawie, aby na swoim postawić.

— Aureli ją chwali, że się bardzo prezentuje korzystnie — odezwała się Porochowa. — Ja nie pamiętam, jak wyglądała, na fotografii niczego; ale mój syn mówi, że ma wiele wdzięku.

— Leon też nie gani jej, ale się nie unosi — przerwała Sędzina. — Otóż to ludzkie przeznaczenia i losy, nie do wiary.

— To się chyba raz w sto lat co podobnego wydarzyć może — zakończyła Porochowa, zabierając się do wyjazdu, aby dalszych rozmów uniknąć.—Sędzinka, która, już raz rozgadawszy się, pragnęła właśnie rozmowę przedłużyć, zatrzymała sąsiadkę natarczywie na herbatę.

Nie będąc czystą w sumieniu, Porochowa siedziała jak na rozpalonych węglach, gdy sąsiadka ze zwykłą sobie gadatliwością, czasem tak drażliwych dotykała przedmiotów, iż się można było obawiać smutnego tych odwiedzin końca. Tylko, że Sędzinka, jak sama sobie pozwalała wiele, tak i drugim wiele przebaczyć umiała.

Naostatek mrok zmusił do wyjazdu Porochową, która siadła do starego koczka z córką, rozgoryczowana, a że córka w czasie, gdy starsze panie rozprawiały w salonie, bawiła się z Rozalką na osobności, Porochowa więc zaczęła od examinu, czy ona się tam co ciekawego nie dowiedziała.

Obie, matka i ona, z Baranówki wyjeżdżały z tem przekonaniem, że Sędzina, mimo żartów, jakich sobie pozwalała z pomywaczki, będzie się starała wszelkimi sposobami Leonka namówić, aby jej serce i posąg pozyskał.

Wszystko to najdziwniej składało się teraz. Sędzinka zaczęła ciągle mówić o Justce, nie wystrzegając się wcale, najwięcej ze swoją starą panną Hanną. Ta zwróciła się do gumienego, pojąc go słodką wódką i słowami, aby z niego coś dobyć o Justce. Oznajmiła mu nawet pół żartem, pod sekretem, że i Leonek i Aureli Porocho obaj się chcą starać o Justkę. Rabicki zmilczał, ale ten wielki honor więcej go nastraszył, niż mu pochlebił. Znał obu paniczów zblizka i do żadnego z nich sympaty nie miał; z biedy wolałby już Leona.

Stary powiedział sobie w duchu, iż wypada ostrzedz Justkę, aby o spisku wiedziała. Radby się był sam znowu wybrał do Warszawy, lecz potajemnie nie mógł, a jawnie nie chciał.

Z pomocą czytając w miasteczku stary Rabicki zebrał się na niekształtny lecz z dobrego serca list do siostrzenicy, w którym, oznajmując jej, że pewnie Aureli i Leon nadszkakiwać jej będą, aby sobie pozyskać jej łaski, zaklinał, aby dobrze się miała na baczności i w niewolę nie wpadła nową.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

XLII.

Wieczór Trzech królów czyli *Co chcecie* (What you will), komedia w 5-ju aktach Shakespeare'a, w tłumaczeniu L. Urlicha, układzie scenicznym Heleny Modrzejewskiej, przedstawiona po raz pierwszy na scenie Teatru Wielkiego w dniu 1 Lutego r. b. „Viola” i inne role. — Gra pani Modrzejewskiej w **Odecie** Wiktoryna Sardou. Wysoki artyzm; nowy postęp. — Za niar założenia szkoły dramatycznej w Krakowie.

— Dzięki p. Modrzejewskiej, która nas po trzech latach znowu odwiedziła, ujrzeliśmy na scenie na-

szej komedią nową Shakespeare'a; znaleźmy już przedtem *Poskromienie złośnicy* i *Wiele hałasu o nic*. Matką chrzestną tej ostatniej była również p. Modrzejewska, wzięwszy z niej dla siebie rolę Beatrix. Obecny wybór *Trzech królów* (Twelfth night) był dobry: w utworze tym jest dużo czystego komizmu, jest satyra, jest i wdzięczna baśń miłosna, w której bohaterka główna daje każdej artystce wytrawnej, nieświeżym, ale szczerze pole do popisu. Całość tej komedii sprawnia wrażenie milego bardzo poemaciku miłości, wplecionego w charakterystykę próżniactwa, opilstwa i blagi szlacheckiej, a przy nich śmiesznego purytyzmu, który, nie będąc już ani szlacheckim, ani mieszczańskim, w epoce religijnej reakcyi, prowadzonej przez najniereligijniejszą z kobiet toporem, mieczem, i strzykiem, stawał się ogólnie angielskim i tylko zlekka mógł być potrącanym przez myśl niepodległą w literaturze czy w polityce. Z powodu swych zasad z anglikanizmem niezgodnych, Purytanie musieli z Anglii ustąpić, ale pozostawili jej swój *cant*, z którego rozwój obyczajów wytworzył świętoszkowstwo. „Lepsza” religia nie dała lepszych ludzi, dała im tylko inne pozory: a wszakże namiętności ludzkiej, ambicyi gromadnej, głównie o pozory idzie! Shakespeare trzymał się zawsze poza prozelityzmem urzędowym: w sztukach jego człowiek z wiekuistemi swemi siłami, z nieśmiertelnem pięknem, z wrzodami i piegami duchowemi, rysuje się na tle obojętnem dla współczesnej polityki reformatorskiej. Postaci takich, jak Malvolio w *Twelfth night*, na którym czuć śnieźd purytańską, mało chyba u Shakespeare'a znajdziemy. Dział, jaki przypada na niego w komedii, jest bardzo znacznym: czem Viola dla baśni miłosnej, tem Malvolio dla satyry; bez niego nawet komiczna część utworu nie miałaby intrygi. Wprawdzie Shakespeare, wielki poeta duszy ludzkiej, głównie na ruchu psychologicznym dramatyczność, zarówno poważną, jak i komiczną, osnuwał, o intrygę dbał również mało, jak my dbamy dziś wiele; ale zupełnie przecie lekceważyć jej nie mógł. Jego Malvolio był potrzebny dla zewnętrznego ruchu, dla życia sztuki w jej działach komicznym.

Baśń miłosna w *Wieczorze Trzech Królów* ma pochodzenie włoskie. Włosi w owej epoce zaopatrywali Europę w rozmaite awantury, które spełniały funkcją dzisiejszego romansopisarstwa. Jak przy innych dramatach, tak i przy tym Bandello otworzył Shakespeare'owi swą spiżarnię. Baśń toczy się z łatwością, na jaką tylko pozwolić mogła wyobraźnia. Burza morską rozbija statek, którym płynęło dwoje rodzeństwa, brat i siostra, tak do siebie podobni, że gdy się siostra za mężczyznę przebrała, wszyscy biorą jedno za drugie. Bez żadnego zgola trudu każde znajduje jakiegoś kapitana okrętu, który je wyrwa z fal morskich. Wyratowana Viola dowiaduje się, że ją morze wyrzuciło na brzeg Illiryi, która jest tu tak historyczną, jak owe szekspirowskie Czechy oblane morzem. W tej Illiryi panuje książę Orsino, wdychający do nieczulej na wszystkie jego westchnienia, bogatej hrabiny Olivii; oplakuje ona zmarłego brata i nie chce słyszeć o żadnej miłości. Viola odrazu powzięła zamiar dostania się na dwór rozmarzonego mazgajowato księcia, nie bez błysku nadziei, że może go do siebie przywiąże i zostanie księżną. Przebiera się tedy za mężczyznę i zastępuje mu niedawno oddalonego pazia. Na trzeci dzień już posiadała jego zaufanie; trzy dni też wystarczyły jej do rozkochania się w Orsynie. Z miłością tą ukrywa się jednakże starannie i przyjmuje rolę pośrednika do serca nieczulej Olivii. Będzie mogła poznać swoją rywalkę; a którażby kobieta wyrzekła się takiej ciekawości! Dziewicze, gorące jej serce oburza się szczerze na sztywność i nieczułość bogatej damy i rzuca na nią przekleństwo. Moment interesowności osobistej w jej rozwoju psychologicznym nie zaznacza się wcale: Viola nie jest ani na chwilę zazdrośną; czysty idealny porryw, bez nerwów, zastępuje w niej nerwową namiętność. Przeciwność uczuć tajonych i jawnie przyjętej roli nadaje duszy jej oryginalny duchowy koloryt. Z roli tej rozwija się dalsza jeszcze sprzeżność objawów z rzeczywistości charakterami. Olivia, wierząc w rzeczywistość

pazia, ulega urokowi gładkiego jego oblicza i harmonijnego głosu i pomimo załoby swojej zapala się miłością ku mniemanemu Cezaryonowi. Ów mazgaj księżę, przypominający trochę Romea z jego epoki Rozalindowej, wysyła pazia jeszcze raz i drugi na dwór Olivii—stale bez skutku i dla siebie i dla niej. Tymczasem już i brat Violi, Sebastyan, wyratowany przez swojego kapitana, miał czas wejść na widownią wydarzeń. Olivia, trzymana zdala przez Violę, a coraz silniej płonąca, bierze go za pazia księżęcego, i jak w bajce być powinno, po krótkich ceregielach, prowadzi do ołtarza: oczywiście w bajce nigdy nie powinno braknąć i kapłana. Załobna Olivia zostaje radosną małżonką Sebastjana, któremu rozbicie nie mogło, zaiste, lepszego losu zgotować.

Nic już teraz nie przeszkadza Violi objawić swego uczucia, a księciu — odpowiedzieć na nie wzajemnością, która mu tem łatwiej w jednej chwili nabiega do serca, im mniej w jego poprzednim zapaleniu się dla Olivii było jakiegokolwiek rzeczywistego ognia.

Zakończenie takie pozwala uważać sztukę za odpowiednik do *Straconych zachodów miłości*: tu te zachody nie poszły na marne. Przybranie fałszywego charakteru przez Violę przypomina *Dwóch szlachciców werońskich*, a podobieństwo rysów — *Menechmy* Plauta i *Komedję z pomyłek* samego Shakespeare'a. Tyle obcych materiałów i tyle przedmiotowego pokrewieństwa z obcemi utworami — a jednak sztuka Shakespeare'a jest jego własną, najzupełniej oryginalną, samoistną. Nie od przygód bowiem, ale od sposobu przedstawienia ich, od metody pojmowania i odczuwania człowieka, od psychologicznej treści w postaci pojedyncze wrażeń, od charakteru i stopnia poetyczności, z jaką się postacie te przed nami malują i wypowiadają, zależy oryginalność literatury pięknostkowej. Viola jest bardzo wdzięcznym, lekkim, jakby pastelowym malowidłem i idealna jej czystość, spokój i harmonia przy sile uczucia podbijają każdy umysł nieznieczulony jeszcze na sztukę idealistyczną, która ma to do siebie, że tylko najczystsze, dla ducha najpodatniejsze, najbardziej uduchowione formy rzeczy przedstawia. W takich formach właśnie przejawia się miłość Violi dla Orsyna.

Jej dzieje? Biała karta, cicha i milcząca,
Nigdy mu uczuć swych nie wyjawiała,
A tajemnica, jakby robak w pączku,
Toczyła skrycie różę jej oblicza.
W duszy cierpiała, w czarnej melancholii,
Jak cierpliwości posąg na mogile,
Słoniła miłość żalonym uśmiechem.

Oczywiście, dla dramatu taki spokój wystarczyłby nie mógł, gdyby miłość miała być jego przedmiotem i celem; ale ponieważ jest tylko przygodą, epizodem, baśnią poetyczną, wprowadzoną dla złagodzenia surowej zmysłowości, panującej w komicznym działaniu utworu — przeto zadaniu swemu zupełnie odpowiada. Shakespeare przejawia się we Violi, nie jako dramaturg, ale jako poeta liryczny.

Komedja w *Trzech królach* jest własnością zupełną Shakespeare'a; życie dostarczyło tu może wzorów, ale lepiej powiedzieć, że dało tylko pobudkę: Shakespeare był zanadto oryginalnym, silnym przez samego siebie, aby mógł rzeczywistość odtwarzać z tym fotograficznym realizmem, w jakim się wiek dzisiejszy lubuje. Twórczością Shakespeare'a, może mimo jego wiedzy, rządziła zasada: natura niech sobie wytwarza indywidua, poeta tworzyć będzie typy. Szlachta próżniacza: pijak sir Tobiasz, zdechłak sir Andrzej, subretka przypochlebiana się staremu pijakowi, Malvolio, zarozumiała głupiec w formach sztywności purytańskiej marzący o ręce swej pani i jej milionach — wszystko to było w życiu, ale z życia do sztuki żywcem nie przeszło. Są w tych postaciach rysy typowe, szczególnie w Malvoliu, którego dobrze pojąć potrzeba, aby go nie poniżyć i nie zepsuć. Lekceważenie tej postaci może być tylko skutkiem niepoznania się na niej. Wyborny też jest stary opój i stary kawaler niby rycerz, więcej od kufla niż od szpady, przed którą drży,

kiedy tymczasem przy kuflu sir Tobiaszowi, mimo zdechactwa swego, chętnie dotrzymuje placu. Satyrę przeplatają zwroty do współczesnych osobistości i zwyczajów — wskazujące, jeszcze wyraźniej, niż sama treść, że poeta nie poprzestał na prostym tylko zamiarze zabawienia publiczności Globe'a, ale chciał wytknąć zło, które było zarazą społeczną. Życie, dowcip, humor, nie zawiodły go przy wytwarzaniu tej komicznej części utworu. Najpyszniejszy jest Malvolio, gdy się łapie w samotrzask i pokutując za chępliwość swoją, uznany za waryata, z głębi lochu rozmawiać musi z błaznem o Pytagorasie i jego wędrowce dusz. Ten błazen, mniej mądry od innych Shakespeare'a, nie jest jednak prostym tylko pajacem. Mówiąc o sobie (w akcie V, scenie I), mówi właściwie o księciu, i jego nie siebie przyrównywa do osła. Dobrze zagrany, może zająć.

Obie części utworu bez pracowitych wysiłków, bez umyślnej akcji przystają do siebie składnie. Komedja rozwija się niezależnie od baśni miłowej i dopiero pod koniec aktu IV obie sfery uderzają o siebie. Hr. Tobiasz podmawia sir Andrzeja do pojedynkowania się z Violą, jako mniemanym paziem i współzawodnikiem do serca Olivii. Kiedy strwożona Viola ma już zdradzić swą tajemnicę, a interwencja żandarmów i kapitana okrętu, który ocalił był jej brata, przewróczy sprawę, staje do walki Sebastyan wzięty za Violę i kierzeszuje pijaków. Służy to do wyjaśnienia tożsamości osób i przyspiesza zakończenie sztuki.

Wieczór Trzech królów przedstawiono w układzie scenicznym pani Modrzejowskiej. Nie można mu nie zarzucić: sztuka zyskała tylko przez połączenie dwóch scen aktu I-go, ukazujących rozmarzenie Orsyna, przez usunięcie Antonia i Sebastjana, których role, zresztą nieznaczne, ograniczono do minimum, niezbędnego dla biegu baśni miłowej; wreszcie przez skrócenia i zmiany w samym wysłowieniu. W egzemplarzu scenicznym dzieła zastąpiono „jelenia“, za którym tęskni deklamujący o swej miłości Orsyno, „sarną“, która wydała się dla ściślejszej obserwacji właściwszą. Usunięto też „Coronera“, jako obco-krajowego. Nazwę angielską sir Andrzeja „Aguecheek“ (Feryczna gęba) oddano przez „Chudogębę“. Jest ona stosowniejszą od „Czerwonogębskiego“, jaką go ochrzcił L. Ulrych.

Rolę Violi p. Modrzejowska doskonale wystudowała; wdzięk, wyższość, niewinność dziewczęca a sztuczny animusz młodego chłopca, tajona miłość, żalność, oburzenie i trwoga: wszystko znajdowało właściwy dla siebie wyraz na obliczu, ton w głosie, ruch w postaci. Gra mimiczna, którą artystka zawsze celowała, podniosła jeszcze wartość tego, samoistnie, ale zgodnie z poetą pojętego i dokonanego, utworu. Szczególniej wdzięcznym było w ruchach, gestach, spojrzeniu, wyrazie twarzy — pierwsze wejście pazia na dwór książęcy. Publiczność oklaskiwała, nie Modrzejowską, nie głośnie i sławne w sztuce scenicznej imię, ale znakomity w rzeczy samej artystę, na który patrzyła. Gdyby tak jeszcze innym był Malvolio, innym sir Andrzej! Pan Rapacki zamało pogłębił komizm purytanina intendenta, był ciągle monotonnym, nie zaznaczył nazwę wewnątrz dostatecznie różnicy dwóch psychologicznych momentów, kiedy Malvolio ze światłem w ręku wpada na pijatykę nocną i kiedy odczytuje wyznanie podrobione przez Maryę. W każdym z tych momentów intendent przejawia się jako nie tensam człowiek: p. Rapacki był ciągle tym samym. Pan Morozowicz w zwykłej swojej flegmie, przypadającej wogóle dobrze do ról idiotycznych, przebrał miarę. Sir Andrzej powinien mieć więcej żywości i animuszu kawalerów szlacheckich, nadrabiających miłą i czupryną, a tak czczych, że nawet tacy jak sir Tobiasz, mogą ich bezpiecznie brać na fundusz. Pani Ładnowska starała się być poprawną Olivią; nie przeszkodziło jej to być wszakże automatyczną Olivią. Pan Prażmowski deklamował ze zrozumieniem treści. Stary opój Tobiasz dla artystycznych zdolności p. Ostrowskiego nie był zadaniem trudnym: role takie leżą właśnie w zakresie właściwego dla artysty rodzaju. Dzięki temu, krewny Olivii znalazł dobrego przedstawiciela na scenie naszej. Cała scena III-a aktu II-go p. Ostrowskiemu zawdzię-

cza tę wesołość, w jaką wprawiała widzów. Pajac p. Tatarkiewicz nie był pajacem Shakespeare'a: nie miał charakteru, mówił zbyt prędko, ironia w głosie nigdy mu nie zadrzała. Pani Leszczyńskiej rola Maryi udała się wcale nieźle.

Widzieliśmy p. Modrzejowską w innej jeszcze jej roli, nowej w Warszawie, w *Odecie* Wiktoryna Sardou. Sztuka sama od trzech lat już znajduje się na wykazie bieżącym sceny naszej. Początkowo wystąpiła w niej p. Hoffmanowa z Teatru Krakowskiego, po niej rolę tytułową objęła panna Marcello-Chraszczewska. Gdyśmy teraz ujrzeli Modrzejowską, dopiero ukazała się różnica pospolitych zdolności i pospolitej, choć dobrej, roboty od rzeczywistego talentu i prawdziwego artysty. Trudno już zapomnieć tej grzesznicy, gdy wyczekuje wyroku, jaki na nią spadnie z ust mężowskich w akcie I, gdy w akcie III toczy walkę z mężem, gdy w IV z niewysłowioną boleścią tchnieniem swej córki się napawa, nie mogąc się głośno nazwać jej matką. Cała sofistyka Francuza, który włócząc się przez lat kilkanaście po Neapolach, Wiedniach i Niceach wietrzniczy dał czułość prawego serca macierzyńskiego, całe to nalepienie cnoty i piękna na grzech, bezwstyd i szkaradę — pod wrażeniem tej gry dostrzedz się nie dało. Artystka wytworzyła własną swą Odettę, o jakiej sofist autor nie marzył. Podobnie, jak uszlachetnioną swoją Damą Kameliową, podczas pierwszych odwiedzin z zagranicy (po wyjeździe w r. 1876), tży wyciskała z oczów, tak i teraz umiała ogromem nieszczęścia i boleści zjednać głębokie współczucie estetyczne dla postaci, która w życiu zbierała tylko pogardę od umysłów i charakterów niezarażonych zepsuciem. I to jest właśnie potęgą sztuki, i to jej wyższość nad życie!

Po trzech latach od czasu ostatnich odwiedzin, dostrzegliśmy większe jeszcze wykończenie, pełność w obmyśliwaniu szczegółów roli, lepsze przystosowywanie ich do życia — wyższy, jednym słowem, artystyczny. Artystka mniej już liczy na temperament, na porwy i natchnienie; więcej na umiejętność i pracę. Talentu to nie tłumi, a jego rzeczywistnienie się, to jest artystyczny, potęguje. Głos, przy drugiej bytności w kraju znacznie wzmocony, teraz nam mniej już silnym się wydał; wsłuchiwaliśmy się pilnie: siły zprzed lat trzech już niema. Jest to tem dziwniejsze, że artystka doskonale wygląda i przytyła znacznie (co nawet dla Violi nie było pożądanem). Mówią, że p. Modrzejowska chce jeszcze kilka lat wędrować po świecie, a potem osiąść w Krakowie i pokierować szkołą dramatyczną. Będzie to dobre, użyteczne, obywatelskie zakończenie zawodu, przebytego tak świetnie.

Stanisław Krzemiński.

Korrespondencja Jerzego Sand

Tom VI.

(Dalszy ciąg, ob. N. 4).

Sand umiała być mocniejszą wobec klęsk wojny, niż wobec strasznych tragedii Komuny; upadała na duchu i ma serce ciężko rozdarte, a grunt zdaje jej się usuwać pod nogami, bo wszystkie jej wierzenia społeczne, wszystkie z tem związane ideały jej i nadzieje, padają w proch zdruzgotane. — „Biedna Francjo! woła w liście do redaktora *Kuryera* w Nimes, Juliusza Boucoiran — czyż trzeba, abys ty, zwyciężona, musiała zarazem cofać się w tył?“ Przyznaje się otwarcie do wielkiej boleści i ciężkiego zawodu, zadanego jej przekonaniem. Tak kochała ten lud i myślała tylko o jego przyszłości... Przecież uczucie stronnictwa nie jest u niej wyższem nad rozum, a zwłaszcza nad miłość dla ojczyzny; ta nad wszystkim góruje i podnosi się ponad wszystko. — „To, co się dzieje w Paryżu, nie zdaje mi się bynajmniej symptomem socjalnym i humanitarnym — pisze do Dumasa (syna). — Nie wie co za

wniosek wyprowadzą z tego filozofowie; ona przedewszystkiem cierpi i czuje się dotkniętą, ale to ratuje ją od apostazyj względem zasad swoich, że umie patrzeć w głąb rzeczy i doszukuje się przyczyn złego. To, co się stało, to „rezultat zbytku cywilizacji materialnej, która ciśnie w górę plany swoje“, ale niemniej serce kobiety jest smutne! — jak wywnętrza się przed przyjacielem, dziś już najbliższym z pozostałych, od chwili gdy Barbes żyć przestał: przed Flaubertem. — „Czynię wielkie wysilenia, aby się bronić przed zniechęceniem—pisze—nie chcę zaprzeć się przeszłości i lękać się przyszłości, ale wola moja, mój zmysł rezonujący walczy z wrażeniem głębokim i niezmożonym jeszcze dotąd“.

Chcąc jakoby udzielić przyjacielowi coś środków podobnej „obrony przed rozpaczą“, pobudza ów zmysł rezonowania i na jego korzyść. „Bezcenne (ignoble) doświadczenie, które Paryż przeżywa, nie świadczy bynajmniej przeciw nieśmiertelnemu prawu wiecznego postępu ludzi i rzeczy, ta trocha przekonani złych czy dobrych, które sobie zdobyłam dla umysłu, nie ulega żadnej zmianie, ani przekształceniu. Oddawna już poddałam się cierpliwości, tak jak poddaję się stanowi pogody, zimie, starości, niepowodzeniu pod jego formą wszelaką. Sądję przecież, że ludzie stronnictwa (tego co ona) szczerzy, powinni zmienić swoje formuły“.

Ale, jak się już przyznała: rozumowanie swoją drogą, a smutek, który ją przenika, swoją. Wie, że „gdy jedno drzewo uschnie, należy dwa posadzić“, lecz jej żal pochodzi z czystej słabości serca, jak ten stan w sobie nazywa, nie umiając go zwyciężyć. „Nie mogę zasnąć spokojnie wobec cierpienia innych, podlenia się innych. Żałuję tych, którzy źle czynią, uznając, że nie są bynajmniej miłości godni; stan ich ducha rozdziera mi jednak serce. Żałujemy pisklęcia ptasiego, gdy wypadnie z gniazda: jakżeż więc nie żałować ogromnego mnóstwa sumień ludzkich, spadłych w błoto? Mniej cierpiałam, gdy Paryż był obleżony przez Prusaków“.

Nie jest to u niej frazes, bo odczuwa się ten stan jej uczucia, zaznaczający się niezmiennie stale we wszystkich jej listach z tej chwili czasu. Lecz nie stanowi to bynajmniej zmniejszenia uczucia patriotycznego na korzyść ideałów ludzkości wogóle, ot wcale nie. Kocha ona Francją gorąco, szczerze; żaden kosmopolityzm tak pojęciowy jak serdeczny, nie istnieje u niej. Czuje się Francuzką do szpiku kości, do najgłębszych drgnień serca, ale widocznie jest u niej przekonanie, że spodlenie się, wyrodzenie moralne jest dla jej kraju klęską cięższą, niż zabór niemiecki, bo upadek szczęścia i pomyślności, wielkości narodowej, to skutek upadku moralnego składających naród ludzi. Jak nazwała gwałty Komuny bryzgającą pianą materialnego kierunku cywilizacji, tak nieszczęścia Francji, zawierające się w tchórzostwie i w braku ofiarności, w braku zdolności do ukochania kraju, nazywa mętami tego kierunku, które opadają na dno narodu, i osadzając się tam, tworzą grunt podłości, na którym wschodzi nieszczęście. „Wyhodowaliśmy ten lud takim, jakim jest, zasieliśmy mu w piersi ziarno, które wydało owoc gorzki: bez szlachetnego ideału przepada się tak zawsze“.

Nienawidzi Cesarstwa Napoleona III-go, bo stało się to pod jego rządami: Francja przerodziła się — wyrodziła.

Bolesć patriotyczna z upadku Francji jest w jej sercu niezmierna. Osobiście żadne zamieszanie nie zaburzyło jej życia w jego biegu regularnym. Nikogo nie straciła, nie ubył jej nic prócz dumy narodowej, prócz szczęścia w ojczyźnie; a jednak nie może odnaleźć siebie dawnej. Katastrofa stała się pomiędzy nią a pracą, jak to pisze do Flauberta, dowiadując się czy po zajęciu jego domu przez Prusaków, może w nim urządzić sobie istnienie dawne. „Jeżeli tam będziesz mógł odzyskać zdolność pracowania, stanie się znów pokój w umyśle twoim. Ja, czekam, aby mój (umysł) został wyleczony przez wiarę, nadwreżoną teraz, którą przecież zaliczam sobie do obowiązków“.

I gdzie indziej (list do aktora Komedyi Fran-

cuzykiej, Bretona), pisze podobnie: „Wzmagajmy się na odwagę. Brońmy się od zamarcia, wywołujmy siły żywotności naszej... Wiem, że muszą nastąpić czasy ciężkie: miesiące, lata... ale to nic, to przejście konieczne“. Nie zapomina niemniej, że ona sama może nie doczekać czasów lepszych na które każe, tak sobie, jak innym, pracować, ale nie jej osobistość własna stanowi tu jej interes, i do tegosamego Breton Père pisze wciągu dalszym: „Wyrażam się jakgdybym miała jeszcze długie życie przed sobą, i zapominam, że jestem stara. Ale to nic nie zmienia rzeczy. Żyję w tych, którzy żyć będą po mnie“.

„Logika rzeczy każe się zawsze spodziewać dobrego, gdy czara złego przepelnia się“ to pociecha, którą daje może więcej samej sobie, niż innym, pamiętając, że do wzdrowienia ducha, chorego na boleść wielkiej straty, trzeba pomocy własnej woli, własnych sił. Nie mniej dla tego serca obywatelki niema już „szczęścia w domu kiedy go nie ma w ojczyźnie“ i zaznacza się to u niej przy każdej okoliczności, mniejszej, większej. Zapraszając, już w czerwcu 1871 r., Edmunda Plauchut na święto swoich imienin, woła boleśnie: „Czy przecież są jeszcze jakie święta w życiu naszym? Liczyć lata istnienia swego wśród klęski takiej, jaką przeżyliśmy, nie wesoła to rzecz!“

„Ale czuć w pobliżu swoim tych, których się kocha, to jedyna pociecha w dniach smutku. Tylko nie przywieź-że mi jakiego prezentu! Zabraniam ci tego: w tym roku byłoby to rzeczą złą.“

Tak pobłażliwa, tak pobłażliwa nawet nadmiernie dla wielu ułomności, błędów ludzkich, jest surową tylko na punkcie cnoty obywatelskiej. Uważa ją za obowiązek i pospartańsku sądzi wszystko, co jej dotyczy: — „To nie zasługa, ponieważ to powinność.“ Podporządkowywa też pod tę powinność wszystkie, można powiedzieć, słowa, myśli i uczynki, bo wśród nieszczęść Francji myśl o niej o dobru publicznym, stawia, jako główny cel każdego uczciwego Francuza, i samo przypuszczenie, aby sprawa jakiegokolwiek stronnictwa górowała ponad tem, oburza ją i pod wpływem tego oburzenia woła w liście do Plauchut: — „Stronnictwa...—mam tego wyżej nosa i nie chcę już nic więcej. Uważam za kretynów lub nierozumnych tych wszystkich, którzy wpadają w tego rodzaju osobiste dążenia.“ Ta gorącego serca kobieta wyraża się tak o stronnictwie do którego przecież należy sama przez kierunek swego umysłu i pojęć swoich o świecie, ale nie ma i nigdy nie było dla niej innego stronnictwa nad to, które najwyżej stawia sobie miłość ojczyzny, i interesu Francji, jako narodu, nic u niej przeważać nie może: żadne utopie filozoficzne, żadne kosmopolityczne ideały. Francja to matka Francuzów, to ich wspólny dom i przybytek; niech ona runie, niech ona poniżoną zostanie, a wiekowa praca idei, która, zrodzona z francuzkiego ducha, działała wśród ludzkości, przepada i ginie, idzie w poddaństwo idei cudzej.

To pojęcie ojczyzny w łonie ludzkości, ideał ojczyzny w nierozzerwanym związku ze wszystkimi wysokimi świętościami człowieka, góruje u niej stale ponad wszystkim, jakkolwiek daleką jest zawsze od wsteczności, gdyż rozumie prawo ruchu na którym się świat opiera. — „Wiedz to pani, że postęp jest nieustannym waleniem prac ludzkich i zostawia on w całości bardzo małą liczbę tego, co zbudowanym przez człowieka zostało—pisze do Stelli Blandy, powieściopisarki, ale nie jest u niej bynajmniej postępowaniem wszystko, cokolwiek w ostatnim momencie czasu się dzieje i w liście do drugiej kobiety, też pisarki, Emmeliny Raymond, pisany jak i tamten w czerwcu 1871 r., spotykamy ustęp taki:

„Pojęć miłość złego jest niepodobieństwem dla tych, którzy czują miłość dobra, ale musimy liczyć się z faktami i wiedzieć o tem, że jest między ludźmi wielu złych, bardzo wielu szaleńców, a ogromnie wielu idiotów. Nie powinno to jednak zachwiać wiary naszej, w postęp, ani szacunku dla wolności, nadziei w Boga, i tak też wypada nam tworzyć sobie nocny piękna i dobra, których ideał będzie nam się przedstawiać wtedy nie-

zmiennie wśród naszej rozpacz, wśród naszej okrutnej trwogi.

„Fanfarowałabym, pisząc ci, pani, że dusza moja nie jest wstrząśniętą, zmaconą przez te burze (Komuny). Ale pracuję nad tem i sądję, że wszyscy powinni podobnie pracować, aby odzyskać równowagę, wrócić do panowania nad sobą, zmusić swój rozum, sumienie, uczucie miłości bliźniego do powrotu na dawną drogę, zdążającą do dawnego celu.“

Ona zdołała zdobyć się na siłę, na mężstwo dostateczne, aby wstąpić znowu na stary tor życia, z którego wykolejoną została. Wkrótce potem bierze się do pióra, pragnie pisać, chce zawrzeć stosunki z dziennikiem *Temps*, w czem pomaga jej Chojecki, z którym koresponduje teraz bardzo często. Listy te, zdające się mieć dla nas zajęcie wyższe od innych, nie mają go jednak, bo są przeważnie oddane sprawom literackim, i to z ich strony materialnego interesu, lub stosunków z redakcją. Ta redakcja czasem coś jej odzucha, coś opuszcza, zmienia nawet, tak jak to czyniło już poprzednio *Revue de deux Mondes*. Mimo jej wysokiego stanowiska, mimo genialności jej pióra, musiała się temu poddać tak, jak poprzednio już poddawała się „nożycom“ Bouloza, redaktora *Revue*, który wystrzygał niemiłosiernie wszystko, co nie przeszło przez jego cenzurę. Ale redakcja każda musi mieć swoją wytkniętą drogę: swoje zasady, swoje cele—odpowiedzialność swoją przed publicznością. Pisarz, choćby najwyższy, powinien się temu poddać, lub drukować pracę swoją gdzieindziej. Chojecki, występujący ciągle pod francuzkiem przybranem nazwiskiem: „Charles Edmond“, pośredniczył między nią a dziennikiem *Temps*. Sand pisywała tu felieton i rozbiory dzieł. Praca tego rodzaju nie była przecież dla niej najmilszą; było to widocznie zajęcie przygodne, zanim zdoła zebrać w sobie dość sił na dzieła trwalsze i wyższego artystycznego znaczenia. W liście do Flauberta pisze też, w Styczniu 1872 r.: „Ach gdyby się nie miało w sobie swojej małej świątynki, wewnętrzного przybytku, gdzie ukradkiem i nie mówiąc nic nikomu, ucieka się, aby rozmyślać, marzyć o pięknie i prawdzie, trzeba by zawołać:—Na co to wszystko?“

Napisała to w chwili zniechęcenia i wyrażając wątpliwość, czy choć połowa czytelników rozumie rzeczywiście, to, co się mieści w podawanych przez nią słowach, ale ludzka strona jej uczuć, człowiek ratował w niej pisarza. Kilkakrotnie w korespondencji swojej, z Flaubertem szczególnie kładzie na to nacisk, że według niej, sztuka jest nie dla sztuki, ale dla ludzi i to nie dla zamkniętego wybranego ich koleżka. Nie! ona chce mieć dla dzielenia się myślą swoją całe drużyny, gromady ludzkie i nie przestaje to w niej nigdy być przekonaniem, co niegdyś (1866 r.) napisała do Flauberta: „Co to jest sztuka bez duchów i serc, w któreby się przelewała? Słońce nierzucające promieni i niedające życia niczemu.“ — Kielich dla wszystkich! jak wołali Taboryci czescy i ona wyznaje tę wiarę kochanka Consueli niezmiennie, stale, i czyni jej wyznanie przed poetą prowansalskim, Alexandrem Saint Jean: „Są dwie szkoły, powiedziałabym dwie religie sztuki: jedna, która gardzi liczbą, tłumem i, słusznie twierdząc, że rzeczy wzniosłe mogą być pojęte tylko przez umysły wyższe, pragnie tworzyć jedynie dla tej liczby ograniczonej i nazywa pospolitem wszystko, co zstępuje do inteligencji mas. W muzyce jest to szkoła Beethovena.“

„Druga szkoła twierdzi, że należy sztukmi-strzowi być zrozumianym przez wszystkich i skoro tylko stawiamy się w zetknięciu z publicznością, jest powinnością naszą, abyśmy wytworzyli prąd komunikacyjny między sobą a sumieniami i sercami ludzkimi. Skoro ktoś nie pragnie tego, niechże śpiewa sam sobie w głębi lasu, jeżeliby przecież zbiegli się słuchacze, choćby to tylko byli faunowie, a on nie zakończył pieśni, powinien zgodzić się na to, aby przemawiał do tych istot niewykształconych w sposób oświecający, podnoszący ich ponad nich samych, przez tony jasne i przenikające—to szkoła Mozarta“.

„Wahałam się długo między temi dwiema szkołami, lecz w końcu stanęłam po stronie Mozarta,

mówiąc sobie, że jeżeli mam w duszy dobre albo piękne uczucie, obowiązana jestem dać mu wyraz, przez który wstąpiłoby ono w dusze innych; że nie wolno mi pogardzać z nich żadną. Powiedziałam sobie wreszcie, że gdyby Mozarty, Moliery, nie raczyli być jasnymi, nie byłabym nigdy dostąpiła zrozumienia Beethovena i Danta. Ztąd dochodzę do wniosku, spierając się o to niejednokrotnie z bardzo wysokimi umysłami, że talent nakłada obowiązki“.

„Sztuka dla sztuki!—to próżne słowo. Sztuka dla prawdy, sztuka dla piękna, dla dobra—oto prawdziwa religia artysty“.

Korrespondent jej pisał coś o nagrodzie twórczenia, o sławie, o rozgłosie—o tem, jakie modyfikacje książka wydana ma wprowadzić w jego życie, na to ona mu odpowiada: — „Poważną modyfikacją twego istnienia będzie uczucie, żeś spełnił rzecz dobrą, żeś rzucił tłumowi, czy słuchającemu, czy głuchemu, nutę piękną, którąś miał w duszy i która nie zginie wtedy nawet, gdyby, według zdania twego, echo nie dość rozgłosnie wkoło niej rozbrzmiało. Nic nie ginie“.

Dobra rada: szlachetna, piękna rada, dana na drogę życia młodemu poecie. Trzeba ludziom wiedzieć u początku takiej drogi, co ich na niej czeka, aby potem nie było skarg i cofań się, bolesnych uczuć doznanego zawodu. Mądra kobieta umie patrzeć na życie, którego już duży kawał jest poza nią. Nie słabnie duchem, i wiek daje jej tylko szerszą, głębszą mądrość, poglądy jaśniej rozświetlone, gdy namiętność osobista nie mąci ich. Zasłużony i szanowany literat i professor, Paweł Albert, przysłał jej w odwiedzinach do Nahant młodego swego syna w 1873 roku, z którym, podobnie jak z tantym poetą, mówiła o jego przyszłości, o *karyerze* i pisze potem do ojca: — „Rada, którą ośmieliłam się mu dać, na którą kładłam nacisk: to wytrwałość. Wybór zawodu jest niewątpliwie prawem naszym, ale prawo to, raz zadowolone, staje się natychmiast obowiązkiem bardzo poważnym. Bardzo to nie dobrze dla człowieka, gdy, puściwszy się jakąś drogą, cofa się z niej gdy spostrzeże, iż nie jest usiana listkami róż. Takich dróg niema na świecie i trzeba, raz puściwszy się jakąś drogą, iść naprzód dalej, nie oglądając się poza siebie“.

(Dokończenie nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Czytaliśmy kiedyś w starym humorystycznym piśmie opowiadanie o pewnym artyście-malarzu, który, bawiąc na wsi, zapytał się raz swego chłopca do usług, czy mu się jego obraz podoba. Chłopak; nie wiedząc na pewne czy obrazem jest paleta artysty, czy płótno na stalugach, wpięte bardzo pochwalili, lecz zaraz potem zapytał: — „A które to, czy kragłe czy graniaste“. Otóż, większość naszej publiczności obecnej na koncercie Hansa v. Bülowa nie miała nawet sprytu tego chłopka, gdyż stanowczo wybrała paletę, jako przedmiot uwielbienia.

Tą paletą gry Bülowa były, niestety, dzieła naszego mistrza Szopena, w pojmowaniu klasyka nawróconego lub renegata (to zależne od pojmowania), beethovenisty, rozkoszującego się niegrzecznie naszym romantyzmem.

Mówią, że wielu artyści mają czasem swoje dziwactwa w ocenianiu swych własnych zdolności i zasług; podobno Rossini utrzymywał, że jest daleko lepszym fortepianistą niż kompozytorem, widocznie i Bülow jest w mniemaniu, że najlepiej pojmuje Szopena, skoro tak obficie darzył jego dziełami słuchaczy. Nie racya jednak, byśmy mieli z nim podzielać to przekonanie. Dzieła te, wyszły spod palców artysty, bezbarwnie, ciężko, monotonnie. Urok poetyczny, ta cecha wyłączna dzieł Szopenowskich, został rozwiany chłodnym rozumowaniem: racjonalną poprawnością rytmiki, słowem, brakiem porywów fantastycznych romantyka. Jeśli zaś Bülow zdobył się kiedykolwiek

na tę charakterystykę romantyczną, to najczęściej nie w porę, bo chcąc nawet, lecz nie czując, nie sposób wnikać w tradycyę wykonywania dzieł Szopena.

Zresztą, czyż możemy od cudzoziemca wymagać odczucia naszej niesfornej rytmiki narodowej, akcentów, właściwych tylko muzyce charakterystycznej, naszej ziemi—gdy nawet i wśród nas nie każdy zdoła oddać bez przesady, szlachetnie, a zgodnie z wymaganiami estetyki i prawdy w sztuce. Szkoda wielka, że niesłyszeliśmy jednego z tych dzieł naszego poety-muzyka, w których jest więcej kosmopolitą muzykiem (Sonaty, Allegro de concert), gdzie rytmika i forma są więcej ogólne i jako takie łatwiejsze do pojęcia dla obcych: wtedy może nie bylibyśmy tak bezwzględni w naszym sądzie. Ale mianem prawdziwego mistrza, tak w wyborze jako też i w wykonaniu dzieła, uczcił winniśmy Bülowa, słuchając koncertu Czajkowskiego B mol, op. 23. Jest to dzieło symfoniczne; cały wątek, duch rzeczy rozwija się głównie w orkiestrze; fortepian albo luźnie fantazyjuje na jej tle bogatym i mieniącym się jak złota tkanina, albo podnosi tylko się tematów, odrębnością, kontrastem swego brzmienia; służy do chwilowej impozycji, zamiast być głównym przewodnikiem, jak zazwyczaj w tego rodzaju kompozycjach. Jednak owa symfoniczność dzieła, bogactwo i barwność, jaka z niej wypływa, nadaje całości niemałą potęgę. Przedewszystkiem nosi ono piętno głębszego talentu, w tem, iż nie usiłuje li-tylko spekulatywnymi efektami oddziaływać na wyobraźnię i nerwy słuchacza. Effekta poważniejsze, oparte na owej świeżej i pełnej harmonizacji, płyną z głębi ducha, przeniknione uczuciem i natchnieniem; mają przeto rzeczywistą wartość muzyczną, są światłocieniem i kolorytem muzycznego obrazu, nie zaś lekką dowcipną osłonką, która zwykle służy tylko do pokrycia ubóstwa myśli. Nie możemy w niniejszych szpaltach rozbierać tego dzieła krytycznie, szczegółowo; by dać o niem jakiegokolwiek pojęcie, użyć musimy, nie wyrażen technicznych, ale raczej porównania. Powiemy więc, że nakszałt poetycznego utworu, który jasno i obrazowo do nas przemawia, dzieło muzyczne Czajkowskiego obudza w duszy słuchacza pewne określone wrażenie i uczucia. Każdy śledzić będzie z uwagą rozwijanie się pomysłów oryginalnych a nie dziwacznych, każdy napawać się będzie już-to poważną melodyą, już powiewnym idyllicznym marzeniem, już tęskną nutą, która niespodzianie odzywa się niekiedy, poza tanecznym tematem ostatniej części koncertu. Część ta bardzo piękna, osnuta na temacie ludowym, już przez to samo posiada charakterystykę wybitną, a kończy się rodzajem tryumfalnego pochodu, w namiętym porywie hulaszczey nieokiełznanej dzikości.

W programmie koncertu symfonicznego dyrekcji teatrów oprócz koncertu Czajkowskiego mieliśmy drugą jeszcze nowość muzyczną; mianowicie: „Serenadę“ Dworzaka, na kwintet smyczkowych instrumentów. Dzieło to składa się z pięciu części: Moderato, Tempo di Valse, Scherzo, Larghetto, Finale, z których najpiękniejszemi są: druga, trzecia i czwarta. Są to luźne karty, które pojedynczo wzięte, nie stanowią głębiej pomyslaných, skończonych obrazów, ani nawet szkiców zarysowanych oryginalnemi, śmiałemi rzuty; składają się więc na całość monotonna, która nie budzi takiego zajęcia, by wrażenia otrzymane zdołały się utrwalić w umyśle słuchacza. Pomimo, że wykonanie w kwintecie orkiestralnym, brzmi potężniej, sądzimy jednak, że dzieło to zyskałoby wiele na wykonaniu w pojedynczym kwintecie, gdyż wtedy, poprawniej mogłaby być uwydatniona, najcenniejsza jego strona, mianowicie, szlachetne opracowanie partyi głosowych. Ostatnim numerem programmu koncertowego, była IV Symfonia Mendelsohn'a Bartholdy, tak zwana włoska, op. 90. Styl tego dzieła z umysłu lżejszy, a pogodny prawdziwie jak błękit południowego nieba, oddziaływa na duszę słuchacza dziwnie kojąco. Z ochotą umysł poddaje się zawsze słodkiemu urokowi tej muzyki, która jest jakby wytchnieniem, wypoczynkiem po utworach tegoczesnych, głębszych częstokroć, wrażliwiej

działających na nerwy, lecz niekiedy przez to samo—nużących.

Jakkolwiek na początku niniejszego sprawozdania nie bez zasady musieliśmy odmówić trafności sądu krytycznego naszej publiczności, zakończyć nam wypada podzięką, zwróconą głównie ku pięknym czytelnikom, za to, iż wśród karnawalowej powodzi zabaw znajdują czas i ochotę do słuchania muzyki. Nie dziw jeszcze, iż tak potężna atrakcyja, jak imie Bülowa, przywabia liczne koła artystów i amatorów, lecz, że Towarzystwo Muzyczne musiało nawet swe mniejsze wieczory, przenieść do dużej Sali Redutowej, to fakt godzien zanotowania. Bo nawet, nie zapatrując się pesymistycznie na muzykalność naszej publiczności, możemy z góry odpowiedzieć, w imieniu naszych i zagranicznych artystów, kiedy stawia się ona do apelu, a kiedy pustkami świeci w koncertowej sali: jeżeli zatem instytucyja krajowa, która już utraciła urok nowości, istnieje i rozwija się, to chyba, nie wskutek chwilowego kaprysu publiczności, lecz rzetelnej sympatii i przyzwyczajenia, które powoli staje się drugą naturą. Towarzystwo Muzyczne ze swej strony nie szczędzi starań i kosztów, by zadowolić dyletanckie i artystyczne wymagania. Nie mając zbyt wielkich funduszy do rozporządzenia, korzysta z każdej sposobności, by członkom swoim dać usłyszeć grę, chwilowo bawiących w Warszawie, znakomitości artystycznych. Żałować tylko wypada, że chóry towarzystwa coraz mniej liczne, nie przyczyniają się do rozwoju gustu w tym kierunku, i schodzą znowu na ostatni plan, ze stratą wielu znakomitych i pięknych dzieł chóralnych, które wartoby czasem na estradzie Towarzystwa Muzycznego usłyszeć. Czyżby w tym razie znowu, kaprys brał górę nad zamiłowaniem, i w niwecz obracał energiczną działalność i pracę dyrektora?

Juliusz Stettler.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż, w Styczniu 1885 r.

Dziennik adjutanta przez p. d' Hérisson'a. — Ciekawe szczegóły o oblężeniu Paryża. — Traktat zawieszenia broni z Niemcami. — Książę Bismarck i Juliusz Favre. — Sprawa Garibaldi'ego. — Śmierć Edmunda About'a. — Kilka rysów biograficznych i bibliograficznych. — Człowiek i pisarz; ostatnie sądy o nim na grobie. — Ludwik Halévy i Caro. — Nowa komedya Alex. Dumasa w Teatrze Francuzkim *Dyoniza*. — Przeciwiństwo i współzawodnictwo. — Głos prasy paryżkiej i sąd o sztuce Dumasa. — Treść i układ. — Odwołanie się do sądu publiczności.

Pod skromnym bardzo tytułem: „Dziennik adjutanta“ (*Journal d'un officier d'ordonnance*) ukazała się tu bardzo ciekawa książka, tycząca się: ostatnich chwil wojny 1870—1, oblężenia Paryża i zawarcia pokoju z Niemcami. Używamy tu wyrażenia „adjutant“, bo nie mamy innego do wytlómaczenia francuzkiego: *Officier d'ordonnance*. Funkcyje tych officerów we Francyi są tezsame, co adjutantów, z tą różnicą, że adjutantci są officerami głównego sztabu, *Etat-major*, gdy tymczasem *officier d'ordonnance* jest to officer z pułku liniowego, odkomenderowany do sztabu i osoby generała.

Autor „Dziennika“ p. d' Hérisson, którego wojskowa karyera była dziwnie spleciona najrozmaitszemi wypadkami, nie z jednego już pieca chleba jadał; a choć mu brakło pewnej ciągłości w służbie wojskowej, nie zbywa mu jednak wcale na umiejętności spostrzegania trafnego wypadków i osób, z którymi los go połączył na czas jakiś—i na talencie pisarskim, który te postrzeżenia umie oblec w najprzystępniejszą i najmilszą dla czytelników formę.

Zaliczony do świty słynnego obrońcy Paryża, generała Trochu, autor daje nam wiele nowych i ciekawych szczegółów tyczących się wypadków „strasznego roku“. Przeżywszy całą tę nieszczęśliwą epokę oblężenia Paryża przy gubernatorze i naczelnym wodzu, bardzo ruchliwy wścibi i czynny, służył Hérisson najczęściej, za pośrednika, powiernika i za rodzaj politycznej

go meklera, pomiędzy Rządem Obrony Narodowej a przewodzcami malkontentów paryzkich urządzaczami przedmieściowych spisków, oraz generałami głównego sztabu niemieckiego Zład książka pełna jest szczegółów ważnych, przeplatanych anegdotami, w których doskonale, jakby w zwierciadle jakim, odbijają się wypadki i ludzie owej pamiętnej i bolesnej epoki dla tych wszystkich, którzy zdaleka lub zbliżka mieli w niej udział jaki.

Wszystko, co mówi Hérisson o generale Trochu i o jego czynnościach, zgadza się doskonale z tem, co świat cały wie o jego tak dziwnej i fantastycznej obronie Paryża. Trochu był profesorem retoryki w generalskim mundurze. Kiedy minister Robót Publicznych w chwili zamknięcia Paryża odezwał się do niego: „Tak, więc przyjmujemy obłężenie?” usłyszał odpowiedź sentencyonalną z ust generała: „Tak i ma się rozumieć, że powtórzymy u siebie Saragosę i Sebastopol”. Gdybyśmy nie znali człowieka, możnaby podejrzewać w tem głęboką ironią—ale nie: był to retoryczny okres tylko, a w nim cały charakter człowieka, zawily i pusty.

Zauję, że nie mogę tu dla braku miejsca powtórzyć wam wielu szczegółów z tej książki. Te, które się tyczą, na przykład, rokowań o zawieszenie ostateczne broni, które miały miejsce w Wersalu pomiędzy kanclerzem niemieckim a Juliuszem Favrem, są niezmiernie ciekawe i charakterystyczne. Postać kanclerza i jego sposób traktowania spraw tak ważnych, są tak prawdziwe, jasne, dobitne, jak rzadko spotkać to można gdzieindziej. Jakże to dalekie od tych ciężkich, naciąganych, niezgrabnych bazgranin Buscha! Nadmienię tu jeden szczegół z tej konferencji, bo maluje on doskonale całą postać pomorskiego junkra.

„Po obiedzie—opowiada Hérisson—przyniesiono wyborne cygara; przed rozpoczęciem nanowo konferencji.—Palisz pan?—zapytał kanclerz Juliusza Favre’a. — Ten skłonił się, dziękując, i powiedział, że nigdy nie pali. — Złe pan robisz—mówił dobrodusznie dyplomata-kirassyer — kiedy się przystępuje do rozmowy, która może wywołać sprzeczność zdań i pobudzić do gwałtownego wyrażenia tego, co się myśli, lepiej jest wówczas palić, rozmawiając. Cygaro trzymane w ręce, paraliżuje, że tak powiem, jej ruchy. Dymek co się unosi, lechce powonienie, pociąga wzrok za sobą; uspasabia do spokoju i łagodności“.

Potem rozpoczęła się rozmowa powoli, ciężko; ale rzeczy układały się dość gładko, kiedy naraz trafiono na Garibaldeggo.—Tu—powiada autor—oczy kanclerza zaiskrzyły się i cała twarz zapalała mu gniewem:

— Rozumiem — powiedział do Juliusza Favre’a—że jego wraz z całym oddziałem zostawimy zupełnie poza obrebnem naszych układów o zawieszenie broni. To nie wasz człowiek. Możecie go nam zostawić. Ma on przed sobą korpus, którego liczba jest równa, albo bliżka dorównania liczbie jego wojska. Niech się oni tam z sobą rozprawią. Nie zajmujemy się nimi.”

Juliusz Favre odpowiedział, iż na to przystać nie może. Garibaldi znajduje się pod opieką chorągwi francuzkiej; byłoby to ostatnią nikczemnością opuścić go w tej chwili. Było to wypowiedziane, dodaje autor, w długiej, wzruszającej, ale, jak wszystko, co mówił Favre, rozwekłej mowie. Gniew hrabiego Bismarcka rozżarzył się bardziej; zaczął się poruszać na krzesle, i nawet niedopalone cygaro położył na miseczce, wreszcie, wskazującym palcem swej ręki uderzając o krawędź stołu, zawołał gwałtownie:

— A przecież, ja muszę go wziąć, bo mam zamiar przeprowadzić go po ulicach berliń-

skich, wypisawszy mu na grzbiecie: „Oto jest wdzięczność włoska!“ Jaktó! po tem wszystkim, cośmy zrobili dla tych ludzi! to niegodziwie!

W tej chwili—dodaje autor,—pozwoliłem sobie bardzo śmiałej rzeczy, ale która wobec człowieka z wychowaniem i dystynkcyą hrabiego Bismarcka mogła się udać, i rzeczywiście się udała. Biorąc miseczkę z cygarem, na pół się uśmiechając i na pół kłaniając, z uszanowaniem i z prośbą, podałem ją hrabiemu.

Chwilkę zawahał się, jakgdyby nie rozumiał, o co rzecz chodzi, poczem blask jego wzroku przysławił i, biorąc cygaro, odezwał się:

— Masz pan słuszność, panie kapitanie, nie ma potrzeby się gniewać. To do niczego nieprowadzi.. przeciwnie!

I rozmowa zwróciła na dawną, łagodną drogę. Garibaldi i jego korpus był objęty umową o zawieszenie broni.

Pozwoliłem sobie zrobić powyższy małecki wyciąg, ale trzeba by pomnożyć bez końca te ustępy, aby dać wyobrażenie o całości dziennika. Jest to doskonały materiał do tych smutnych wspomnień o czasach ubiegłych, mętnych i krwawych; kiedyś posłuży on do zbudowania całości, a będzie to bardzo cenna cegiełka. Dziś książka jest zajmującą w czytaniu i dobrze maluje tę przeszłość tak jeszcze gorącą.

Oddając z każdego względu zasłużone pochwały autorowi dziennika, nie zapominajmy, że w tej chwili literatura francuzka poniosła dotkliwą stratę w osobie zmarłego Edmunda Abouta. Jako o człowieku niewiele o nim można powiedzieć, coby było godne wspomnienia: w tym względzie odziedziczył on prawdziwie spuściznę tego, czym go wnikiem na pochwałę nazywano; jak prądziad Voltaire, jedno zawsze miał stałe na celu: własny interes i korzyść. Ale jako pisarz, jako stylist francuzki, zajmował miejsce, które długo opróżnionem zostanie.

About posiadał w najwyższym stopniu dwa przymioty wielkiego pisarza: tok rozumny i jasność wysłowienia—przymioty rzadkie niezmiernie, rzadsze, niż się powszechnie mniema.

Rozum i jasność znamionują wszystkie pisma Abouta, stanowią ich zaletę, wybitną tam nawet, gdzie osnowa i rdzeń pomysłu zaledwie dopatrzeć się dają. Nie można oderwać się od książki, gdy ją napisał About, bo od początku do końca rozum i jasność trzymają czytelnika i pociągają go, jakby pomimo jego woli.

Pamiętamy dobrze, z jakimi—to okłaskami przyjęto jego pierwsze literackie próby, które wskazywały, iż nowy mistrz wystąpił na scenę. Były to: *Grecya współczesna*, świetna jaskrawa, błyszcząca, ale dowcipna, rozumna, prawdziwe cacko literackie. Następnie, ogłoszona powieść w *Revue des deux Mondes* pod tytułem *Rolla*, przeróbka z włoskiego, dała powód do żwawej polemiki z Klaczką, który sprawiedliwie zarzucał autorowi plagiat. Rzeczy posunęły się nawet tak daleko, że już gadano o pojedynku. Ale się to utarło i przeszło.

Potem nastąpiły: *Les mariages de Paris*, przyjęte z niesłychanym powodzeniem; *Le Roi des Montagnes*, *Germaine*, *Les échasses de maître Pierre*—apologia, ale subtelna i pełna rozumu i dowcipu, Napoleona III, *Trente et Quarante*, *L'homme à l'oreille cassée*, *Le Nez d'un Notaire*, *Le cas de Mr. Guérin* i t. p. a wśród nich kilka sztuczek dramatycznych, pomiędzy temi *Gaëtana*, sławna ze swego upadku i ze scen burzliwych, jakie przedstawienie jej wywołało ze strony młodzieży szkolnej, oczywiście, prowadzonej ukrytą ręką nieprzyjaciół cesarstwa.

Pierwotny ów szczery zapal literacki i powo-

dzenie nie trwały długo. About, ambitny, niespokojny, pragnący wyniesienia i rozgłosu, dążył zawsze do odznaczenia się jeszcze i na polu politycznym. Zaraz po wojnie 1871-2 zaznaczył tę dążność w dość jaskrawy sposób w polemice dziennikarskiej, najskrajniejszych opinii, a wreszcie dopełnił tego nabyciem opadającego już wówczas dziennika *Le XIX Siècle*. W krótkim czasie tak się postawił, iż to mu odebrało sympatyę wielu bardzo dawnych przyjaciół; wynagrodziły mu to zapewne finansowe obroty dziennika, którego akcje szybko się podniosły do 800 i 1000 fr. Znaczący to dla Abouta, jako właściciela 2000 akcji więcej niż dwa miliony. Po nim objęło dziennik nowe towarzystwo, złożone z bankierów i przemysłowców.

Niewiadomo przecież, jak się to stało, ale w chwili śmierci p. About opowiadano dość głośno, że tak szczęśliwy, jak się zdawało, właściciel *XIX wieku* był poprostu zruinowany—i że to było nawet przyczyną jego choroby i śmierci.

Sprawiedliwie więc na jego grobie, jeden z przyjaciół nieboszczyka, L. Halévy, wyrzekł następne słowa: „A! panowie! nie mogę powstrzymać tych słów: Czemuż to polityka nam go wydarła? Czemuż About nie prowadził i dalej swojego życia wśród nas, tego życia, tak świetnie wśród nas rozpoczętego?” Czemu? czemu ta chęć fortuny, użycia i wyniesienia się nad drugich, tyłu tu ludzi rzuca codziennie w bezdenną przepaść? Czemu on, dziecię biednych rodziców, on na którego pierwsze utrzymanie w szkole złożyli się ludzie ucziwi,—on, dziecię własnej pracy i własnego talentu, nie miał dosyć dwóch milionów na życie! Czemu? oto nam powie drugi mówca pogrzebowy, p. Caro.

„Nowe pole (polityczne), na które wstąpił About, jest zbyt niepewne dla natur pierwotnych. Spotyka się tam co chwila zasadzki i przepaści. Byłeś był choć trochę uprzejmym, zaraz zostaniesz oszukany, i tak ciągle, aż do chwili, kiedy cię rozum, który masz, uczyni podejrzliwym i zmusi do zerwania stosunków zbyt łatwo zawiązanych przed chwilą. Przychodzi zresztą do tego, że w tej walce bez miłosierdzia, w walce stronnictw politycznych, nie mierzy się wcale tegoż, które sprawić możemy, ani nieprawości, którą mamy popełnić. Zadaje się i odbiera co chwila, niesprawiedliwe a śmiertelne ciosy. Szczególnie w kwestyach religijnych, które potracają o to, co jest najosobistszego i najświętszego w człowieku, o jego sumienie—niech mi wolno będzie pożałować tu tych jego zbroceń, tych wybryków polemiki, która tak często była pozbawioną wszelkiej miary, wszelkiego poszanowania i wszelkiej sprawiedliwości.—dla najświętszych nawet rzeczy! Horyzont życia był przed nim szczelnie zamknięty: nie cierpiał, tego, aby poza nim szukano jeszcze czegoś.”

Oto jest cała odpowiedź, na *czemu?* Halévy'ego. Nie z przekonania, nie z uczucia, bo to był umysł delikatny i wyższy, ale *in gratiam* tej obrzydłej maskary politycznej, użył on swej niemiłosiernej polemiki za linę, na której tańczył do złamania karku, aby zawiadnąć czemś, co mu wечно umykało z przed oczu. Dlatego-to aż do ostatniej chwili trzymał się tej liny, która sprowadziła nareszcie—cywilny pogrzeb!

(Dokończenie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 14-ty powieści pod tyt.: **Silny duch**.

TREŚĆ. Stowarzyszenie opieki nad robotnikami w Niemczech, przez Maryą Ilnicką.—Justka, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego.—Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego.—Korrespondencya Jerzego Sand.—Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera.—Nowiny paryzkie.

Dodatek obejmuje: powieść pod tytułem: **Silny duch**, arkusz 14-ty, przez W. Heimbura.—Przegląd mód.—34 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 Января 1885 года.

DODATEK DO BLUSZCZU.

Nr 6.

Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w Bluszczu ze wszystkich pism polskich są podawane.

PRZEGLĄD MÓD.

Suknie koronkowe. — Suknia czarna u panien Daleczyńskich. — Szarfy — Jak je nosić. — Turniury. — Wigonie i bizony. — Suknie gładkie wyrugowały tiunki. — Draperye. — Taśmy. — Szlaki. — Pletnie. — Jak je robić w domu.

Koronki, i koronki! tak są dziś modne, że panie ubierające się elegancko, liczą to sobie do rzeczy niezbędnych, aby w ich tualecie znajdowała się przynajmniej jedna suknia koronkami pokryta, w ten lub ów sposób zrobiona. Białe dają się na lekkiej materji białej „tafetasy“, lub nawet na francuzkiej satinetce, która gdy dobrze do koloru koronki dobrana, robi efekt jedwabnego „surah“. Do takiej spódniczki nosi się, stosując według potrzeby, albo biały jedwabny stanik, nie pokryty, lecz ozdobiony koronką lub też fantazyjny kolorowy z jedwabnego pekinu w deseń, lub nawet z kolorowej materji „tafetasy-glacé“. To dla kobiet młodych; starsze noszą czarne jedwabne, koronkowym materiałem kryte, jednak stanik zdobity tylko bluzką koronkową i koronki. Widzieliśmy śliczną taką suknię u panien Daleczyńskich (Marszałkowska Nr 57), które jako kostiumerki teatralne, posiadają najświeższej mody fasony paryzkie. Spódniczka z grubego faille, u dołu z buffą na 12 centymetrów szeroką, pokryta była aż do tylnego brytu koronkowym materiałem, kończącym się w dole szeroką, 12 centy-

trów koronką spadającą na buffą — z dwóch boków koronkowa spódnica przepięta była słupem z materji, ułożonym w trzy grube kontrafałdy, ujęte poniżej kolan pyszną dżetową pasmanterją, w dole słup jedwabny rozchodził się z pod prze-

pięcia w trzy stojące rury (techniczne wyrażenie magazynierskie). Stanik gładki, z krótką baskiną, zdobita z przodu długa bluzka koronkowa, od pleców zaś ułożonych w płaskie fałdy, w pasie zmarszczonych, spadały trzy bryty suto marszczone, na wierzch sukni nieco dłużej, tak, iż trochę dotykały ziemi. Angielski aksamitny kołnierzyk, oszyty wążutką białą atlasową plisną w czarne kropki i zgrabny mankiel u rękawów do łokcia, ogarniowany koronką, dopełniały tej ślicznej sukni.

Szarfy kolorowe „pompadour“ i rozmaite fantazyjne, są bardzo w użyciu, jednak trudność w ich układzie wielka, przy krótkich stanikach z małą baskiną. Otóż szeroki bryt czy aksamitu, czy materji, rozciąć na dwoje, zeszyć ułożyć okrągławo, jak potrzeba na spódnicy, gdzieś przyzyć, czyli przymocować kilkoma ściegami, włożyć stanik, na wierzch spódnicę zapiąć i dopiero w tyle w węzeł lub dwa spadające pękły związać. Staniki robią się coraz więcej krótkie — gładkie, z bawetem z przodu i z tyłu. Turniura i suknie ze stalkami, zawsze jednak bez przesady.

Na spacerowe suknie ciągle wigonie i bizony (materjal welnia y, cieńszy) są w użyciu. — śliczne w tym rodzaju materjały, świeżo nadesłane. widzieliśmy w magazynie pani n Heurich róg Miodowej, w tysiącznych odmianach kolorów — my zawsze wotujemy za modnym, ciemnozielonym, mahoniowym i zawsze dobrze noszonemi oliwkowym i brązowym, heliotropowy liczy się jednak dziś do bardzo modnych, równie jak lila, szczególnie



Nr 1. Stanik trykotowy.
Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 21 do 28

Nr 2. Lusterko do czesania głowy. Ustawione.
(Do ryc. 7 w Blu. Nr 7).

w cieniu zwanym „mauve“. Suknie z falbanami, tiunikami i bufami, coraz więcej przestają być noszone, a miejsce ich zastąpiła gładka, prosta spódnica, naszyta taśmą wełnianą kilka razy — lub taśmą, czyli szlakiem wełnianym, przerabianym w deseń metalową nitką. Śliczne w tym rodzaju pletnie z sukna i aksamitu, widzieliśmy na strojnej wełnianej sukni u pani Thones, u której zawsze znaleźć można piękne modele tak wełnianych kostiumów, jak i strojnych jedwabnych. Robiąc suknie w domu, podług wzorów i opisów w piśmie naszym podawanych, ukroić podług obranej szerokości szlaku sukno i aksamit w paski, w poprzek, równoległe z biegiem nitki, na półtora centymetra szerokie, tyle, ile potrzeba, i pleść jak zwykle, przeprowadzając jeden pasek przez drugi. Dla lepszego efektu, można wpleść złoty lub srebrny sznureczek czy tasiemeczkę, a w dole oszyć cały szlak pasmanteryjnymi bąbkami jednego z kolorów szlaku. Szlak taki do strojnej sukni z niebieskiego aksamitu i srebrnej tasiemki, albo do spacerowej sukni z zielonego aksamitu i takiegoż moheru, sprawia wspaniale piękny efekt, a można to sobie w domu, podług wyżej wskazanego sposobu, własnoręcznie zrobić.

L. C.

Lustro do czesania włosów.

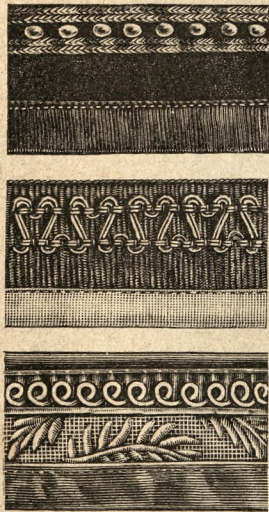
Rycina Nr 2.

Podstawa tego lustra, które ryc. 2 przedstawia ustawione, a ryc. 7 w Bluszczu Nr 7 złożone, jest żelazna, polakierowana i ze złotymi ozdobami. U góry dużego lustra znajduje się rurka, złożona z trzech części, wysuwanych jedna z drugiej, na końcu którego przymocowane jest lustro, do obejrzenia uczesania głowy z tyłu. Składając lustro, zsuwa się preciki jeden w drugi i wpuszcza w rurkę, znajdującą się na odwrotnej stronie dużego lustra.

Pliski kolorowe do kołnierzy i rękawów.

Rycina Nr 3 do 8, oraz 30 do 34.

Ryciny przedstawiają ulubione teraz pliski kolorowe, do obszywania kołnierzy i rękawów. Rycina 3 przedstawia szlaczek z wąskiej czarnej aksamitki, naszytej dwa razy złotą plecionką, a pomiędzy tem perełkami. Rycina 4 pliskę z żółtej aksamitki, naszytej złotą torsadką. Pliska ryc. 5 składa się ze wstążeczki koloru „écru“, z ciemno-pasowym karbowanym brzegiem, zakończonym ukośnym atlasowym rulonikiem i naszytej wązkim złotym szlaczkiem. Pliska ryc. 6 z podwójnie złożonej jedwabnej materii w paski. Rycina 7 przedstawia pliskę z ciemno-paso-

Nr 3 do 5. Pliski kolorowe do kołnierzy i rękawów. $\frac{2}{3}$ wielkości natur.

wej aksamitki, przybranej złotymi ząbkami i złotą plecionką, rycina zaś 8 pliskę z granatowej aksamitnej wstążeczki, zakończonej w górze sznelowym sznurem i przszytym, jak to widać na rycinie, złotą nitką.

Pliska ryc. 30 zrobiona jest z dwóch podwójnie złożonych ukośnych pasków, złotawej gazy jedwabnej

Rycina 31 przedstawia pliskę z białej gazy, naszytą wąską tasiemeczką w pasowe punkciki. Pliska ryc. 32 zrobiona jest z bawełnianej skośnej satinetki, złożonej przez pół i przybranej szlaczkiem haftowanym, pasową i granatową bawełną na batyscie. Dwie skośne pliski z bladżółtej krepki, z których dolna przybrana jest pasowami i granatowami sznelowami punkcikami, stanowią pliskę ryc. 33. Każda z wyżej opisanych plisek, wszyta jest w wąską wstążeczkę i stanowi $\frac{2}{3}$ naturalnej wielkości, a podszywają się pod kołnierze i rękawy. Pliska ryc. 34 zrobiona jest z uplisowanego tiulu w kropeczki, oszyta koronką i służy do naszywania na kołnierzyk i rękawy.

Koszyczek do kluczyków.

Rycina Nr 9.

Koszyczek trzcinowy, owalny, na czterech wywiniętych nóżkach, pokryty jest z wierzchu pluszem pawiego koloru, a wewnątrz atlasem koloru „vieil-or“, którego przyszyte zakrywa rulonik pluszowy. Na wierzchnie pokrycie trzeba ukroić dwa, 28 centim. długie, a 9 cent. szerokie kawałki pluszu i przybrać je haftem; wzór który podaje ryc. 1 w Blu. Nr 7 w naturalnej wielkości, filozelą koloru „vieil-or“ i złotem, ścięciem płaskim, pokryć tym pluszem koszyczek, naszyć złotym cienkim sznureczkiem. Odstający dolny brzeg pluszu układa się w fałdy, które przymocowują się do koszyczka i przykrywają pluszoną rozetką z bombelkami. Pałączek owinięty pluszowym rulonikiem, a na końcach przybrany rozetkami i bombelkami.

Szlak i frendzla do ręczników i t. p. płaskim i Holbeina ścięciem, oraz wiązaną robotą.

Rycina Nr 10 i 24.

Szlak ten wykonany jest na kremowym płótnie, czarnym i pasowym jedwabiem, ścięciem płaskim i Holbeina. Najprzód robi się część haftu ścięciem Holbeina, pasowym kordonkowym jedwabiem, a następnie zapełniają się figury deseni czarnym, miękkim, grubo zwiniętym jedwabiem. Wązki szlaczek frendzli (ryc. 24) haftuje



Nr 9. Koszyczek do kluczyków. (Do ryc. 1 w Bl. Nr 7).



Nr 10. Szlak do prześcieradeł, ręczników i t. p. płaskim i Holbeina ścięciem. (Do ryc. 24).

się w takiż sposób, jak opisany szlak szeroki, w odstępach z cent. od tego ostatniego i zakończy się ścięciem langietkowym, pod którym występuje się płótno na siatkę do frendzli robotą wiązaną, robi się ona z 6 nitki (każda zwinięta z dwóch nitki) i składa się z trzech rzędów supeków; 4 środkowe nitki służą za podstawę, a boczne do wiązania. Po trzecim rzędzie wiąże się wszystkie 6 końców w supek, który przykrywa się składającym się z 20 nitki pasemkiem, owiniętym czarnym i pasowym jedwabiem. Szlak ten może być także wykonany ścięciem krzyżowym.

Chusteczka z tiulu naszytego perełkami.

Rycina Nr 11

Na tę chusteczkę, która się nosi na okrycie, potrzebny jest 74 cent. szeroki, a 142 cent. długi kawałek żółtego, naszytego złotymi perełkami tiulu, rogi którego ścinają się ukośnie, a brzegi oszywają uplisowaną falbanką.

Ubranko z wełnianej koronki.

Rycina Nr 12.

Na podstawę tego ubranka potrzebny jest $7\frac{1}{2}$ c. szeroki, a 32 cent. długi kawałek merli, dwa rogi którego ścinają się skośnie tak, aby podstawa miała formę śpiczastą z przodu i oszywa się ją drutem, a następnie wstążeczką. Na tej podstawie upina się, podług ryciny, 7 cent. szeroka oliwkowa, przerabiana złotem koronka. Końce i pukle z atlasowej, 2 cent. szerokiej wstążki, służą do przybrania ubranka.

Ubranko z koronki i wstążki.

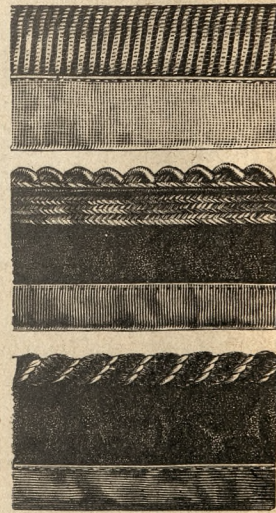
Rycina Nr 13.

Podstawa tego ubranka ma 38 cent. długości, w środku 7, a na końcach 2 centim. szerokości. brzegi oszyte są tiulem i wąską wstążeczką, końce w tyle połączone są za pomocą błękitnej atlasowej wstążki, 2 i pół cent. szerokiej, którą przyszywa się delikatnie, także wzdłuż przedniego brzegu podstawy; ta ostatnia pokryta jest całą 13 cent. szeroką ufałdowaną koronką, naszytą pasowami perełkami. Czepeczek z lewej strony przybrany, podług ryciny, koronką i wstążką.

Frendzla do serwet robotą wiązaną.

Rycina Nr 25.

Frendzlę można robić z nici lub jedwabiu. Na podwójnej nitce założenia nawiązać potrzebną ilość nitki wiadomym sposobem, wymagającym podwójnej liczby nitki, przez, które na zrobienie pierwszej kolei przeciąga

Nr 6 do 8. Pliski kolorowe do kołnierzy i mankietów. $\frac{2}{3}$ wielkości naturaln.

się podwójną nitkę i robi na niej każdą nitką dwa ścięgi langietkowe. Kolej 2: * 1 do 6 przekłada się na krzyż z 7 do 12, w odległości 1 cent. od pierwszej kolei, odnowu 2 nitki założenia na pokrzyżowane końce, którymi robi się po dwa langietkowe ścięgi, od * powtórzyć. Kolej 3: * 2 do 6 końce przekładają się na krzyż z 7 do 11,

dalej + 12 koniec przelożyć ukośnie na 11 do 7 końca i zrobić tym ostatnim 2 ścięgi langietkowe na 11, 1 koniec przelożyć skośnie na 2 do 7 i zrobić tym ostatnim 2 ścięgi langietkowe na 1, od + powtórzyć, a następnie powtórzyć od gwiazdki.

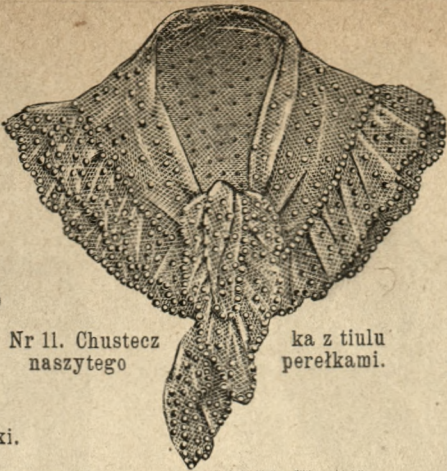
Suknia z kaszmiru i aksamitu.

Rycina Nr 27.

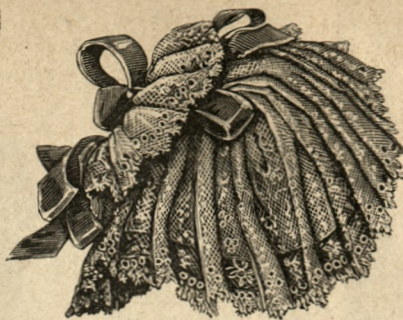
Spódnica oszyta jest u dołu 3 cent. szeroką uplisowaną falbanką, a pokryta drugą gładką, przybraną, podług ry-ciny zakładkami, spódnicą koloru palonej cegły. Staniczek z aksamitu tegoż koloru, z przodu króciutki, z tyłu ma dłuższy fałdowany kar-



Nr 12. Ubranko z wełnianej koronki.



Nr 11. Chustecz naszytego ka z tiulu perelkami.



Nr 13. Ubranko z koronki i wstążki

rzyć zimną wodą, w ilości potrzebnej do zamoczenia szynki, a następnie wsypać soli w takiej ilości, żeby jako całe, surowe w skorupce nie zatoneło, lecz pływało po wierzchu (gdy roztwór ma zamało soli, jako tonie na dno). W wodę tę włożyć szynkę, ażeby na wierzchu nie wypływała, lecz ciągle była wodą pokryta, przyłożyć czemś lekkim i pozostawić w wodzie przez dni 10, przewracając co dwa dni. Na jedną szynkę trzeba włożyć do wygotowania ze 2 funty pieprzu, tyleż ziela i t. d. Gdy więcej szynek marynować się będzie razem i będą dotykać jedna do drugiej, trzeba je ciągle



Nr 14. Fartuszek atłasowy haftowany Opis odwr. str. tabl.

czek, bufowaną bluzkę z materyi zwanej „satin-merveilleux“ i stojący kołnierzyk, podług wskazania ry-ciny.



Nr 16. Okrycie dla dziewczynki od 2 do 4 lat. Opis odwr. str. tabl.

Nr 17. Sukienka dla dziewczynki od 2 do 3 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 53-57.



Nr 15. Fartuszek z jedwabnego repsu. Krój i opis p. str. tabl. Nr IV, fig. 29-31.

przewracać. O ile można, trzeba wybierać małe naczynia do marynowania, żeby ekstraktu wygotowanego zbyt wodą nie rozcieńczać. Szynki po wyjęciu z wody wędzić, jak zwykle, ty-

dzień cały, a następnie wysuszyć w przewiewnym miejscu, na powietrzu marcowem.

Kasztany w cukrze.

Kasztany

Nr 19. Szlafroczek sukieny. Plecy. (Do ryc. 28).



Przepisy gospodarskie

Bliny.

Na bliny kupuje się oddzielny gatunek mąki gryczanej.

rozczynić to pół-kwarterką mleka wolnego, w którym rozrobić poprzednio lute drożdży, wsypać soli i wbić jedno jajko. Wymieszać dobrze i postawić w ciepłym miejscu, gdy dobrze wyrosnie, co powinno nastąpić we dwie godziny, wlać w sam środek ciasta dwie łyżki ukropu wody, wsypać jeszcze łyżkę lub dwie mąki gryczanej tak, aby ciasto było troszeczkę gęstsze, jak na naleśniki i zostawić, aby znowu rosło. Bliny podają się przed zupą — na pół godziny przed jej podaniem, wziąć małe patelki żelazne (kupują się w sklepach żelaznych) smaruje piórkiem klarownym masłem, stawia na mocnym ogniu i leje dużą łyżkę ciasta, aby pokryła patelkę na grubość tylca noża; gdy się podpiecze i podrosnie, przewrócić na drugą stronę, a gdy zrumieni się jak biała bułka, składać jedne na drugie na salaterkę głęboką, postawioną na ciepłym miejscu. Podaje się gorące i dlatego na kilku patelkach od razu trzeba smarzyć. Do blinów podają młode roztopione masło, kawior lub śmietanę.

Prędkie sposoby marynowania szynki.

Szynkę trzeba dobrze natrzeć saletrą, potem solą, jedną i drugą trzeba także wprowadzić palcem wewnątrz szynki, około kości, o ile można dostać palcem, zrobiwszy nim otwór. Potem obsypać grubo solą, położyć na stole i przyłożyć deską, a następnie mocno przycisnąć kamieniami, żeby sok wypuściła i tak pozostawić w miejscu, gdzieby nie było wyżej nad 8 do 10 stopni Reaumura, przez dwie lub trzy doby, stosownie do wielkości szynki. Wygotować w wodzie trochę pieprzu, angielskiego ziela, bobkowego liścia, trochę kolendru i ekstrakt ten roztwo-

przysyłane do nas, są rzadko dobre, zwykle z funta wybierze się za ledwie pół funta dobrych. Najsmaczniej-



Nr 18. Suknia z gładkiego i w paski wełnianego materyału. Przód. (Do ryc 29)

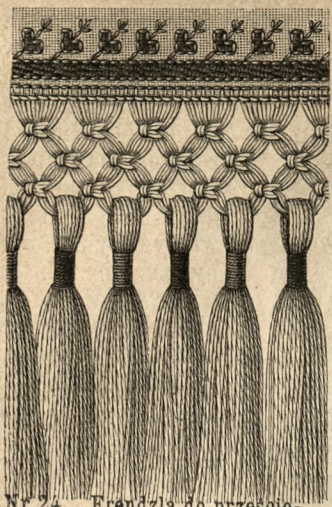
nej, zwanej „mąką blinową“. Wziąć tej mąki pół kwarty, a czubatą kwarterkę pszennej.



Plecy. Nr 20 i 21. Suknia z welwetu (nonpareil). Przód. Opis odwr. str. tabl.



Przód. Nr 22 i 23. Suknia z materyału „Bizon“. Plecy. Opis odwr. str. tabl.



Nr 24. Frendzla do przesłania radeł, ręczników i t. p. ściągciem płaskim i Holbeina oraz wiazaną robotą (Do ryc. 10).

sze są gotowane jak kartofle w zimnej wodzie, obierać jednak trzeba je na gorąco, wyjmować z garnka i zaraz obierać. Na funt obranych kasztanów dobrych, zrobić syrop z trzech ćwierci funta cukru, z małą szklanką wody i gotując go prawie do rumianego koloru, czyli do zupełnej gęstości, brać kasztany na cienki drewniany patyczek, maczać w tym syropie i zaraz zanurzyć w zimnej, jeżeli można z lodem wodzie, a następnie kłaść kasztany na drucianej siatce tak, aby



Nr 26. Suknia z wełnianego materiału przybrana szlakiem. Przód. (Do ryc. 2 w Bl. Nr 7.) Krój i opis odwr. str. tabl. Nr V, fig. 32 do 44

Nr 27. Suknia z kaszmiru i aksamitu. Przód. (Do ryc. 3 w Blu. Nr 7).



Nr 25. Frendzla do przesłania radeł robotą wiazaną.

jeden nie dotykał drugiego. Tylko jeden dzień są dobre, na drugi dzień cukier odstanie.

L. C.

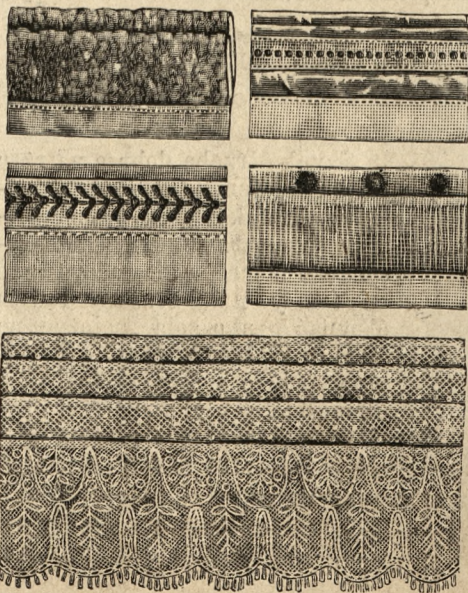
Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów objaśniająca wzory ubiorów i robot w tym i w 7 numerze *Bluszczu* podać się mające



Nr 28. Szlafroczek sukienny. Przód. (Do ryc. 19.) Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1 — 13.

Obiad na Niedzielę.

1. Rosół z kaszką zacieraną.
2. Sztukamięsa opiekana z chrzanem i śmietaną.
3. Kotlety cielęce z groszkiem zielonym.
4. Kwiczoły nadziewane (patrz *Kolędę* 1884 r.) z marynowanymi śliwkami.



Nr 30 do 34. Pliski wszywane i naszywane do kołnierzy i rękawów.



Nr 29. Suknia z gładkiego i w paski wełnianego materiału. Plecy. (Do ryc. 18.) Opis odwr. str. tabl.